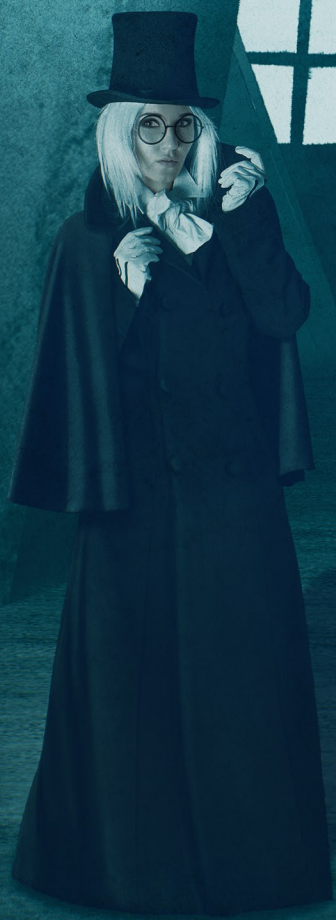


# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2019/5

magazynhisteria.pl



NAPASTNIK  
NIE ZROBIĘ TEGO  
ROZMOWA ZE STRYZGĄ  
SKARB  
SPACER ZIMNĄ NOCĄ  
WSZYSTKIE KOBIETY OJCA  
ZAŚWIADCZENIE B-328

# SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
NAPASTNIK	Kamil Palacz	4
NIE ZROBIĘ TEGO	Mariusz "Maru" Stańczyk	19
ROZMOWA ZE STRZYGĄ	Aneta Pazdan	28
SKARB	Paulina Ciupak	40
SPACER ZIMNĄ NOCĄ	Jarosław Adam Pankowski	54
WSZYSTKIE KOBIETY OJCA	Damian Mrozowski	60
ZAŚWIADCZENIE B-328	Grzegorz Czapski	73

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Okładka :** Joanna Widomska

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk. Zvyrke

**Korekta:** Kaja Jaroszevska, Joanna Korytko

**email:** [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami wrześniowa Histeria. To już trzydziesty czwarty numer!

Tym razem w środku znajdziecie tylko siedem opowiadań, ale za to jakich! Wśród nich m.in. dwa finałowe teksty z *Somnambulicznego konkursu literackiego*.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad ostatnim wydaniem w tym roku.



B. Jaworski i M. Zawadzki



rys. Zvyrke

# NAPASTNIK

Kamil Palacz

– Chodź ze mną, nie bój się. Wydaje mi się, że widziałem twoją mamę gdzieś tam.–  
Słowa wychodziły z ust postawnego mężczyzny, którego wiek niebezpiecznie zbliżał się do podeszłego.

Szła za nim mała dziewczynka, wyraźnie robiąc wszystko, by po raz kolejny się nie rozplakać. Miała na sobie mały plecak z imienną naszywką: „Ania Zabłocka” i numerem kontaktowym. Nie wyglądała na więcej niż sześć lat. Ścisła w dłoni telefon, jednak ten musiał się wcześniej rozładować.

– Nie bój się! – pocieszał ją dziarsko mężczyzna. – Mówiłaś, że twoja mama ma skórzaną kurtkę, prawda? Widziałem, jak taka pani cię tam szukała. Już wszystko

w porządku, tylko nie odchodź następnym razem od rodziców, dobrze? – mówił spokojnie, a dziewczynka posłusznie kiwała głową.

Z prawej strony usłyszeli tupot przyspieszonych kroków, ale półmrok lasu po zachodzie słońca nie pozwolił im w porę dostrzec zamaskowanego mężczyzny, który wyleciał zza krzaka jak nietoperz. W niemal pustym parku narodowym nikt nie usłyszał pisku dziewczynki, która runęła w bok, gdy napastnik uderzył pomagającego jej mężczyznę w skroń i, przerzuciwszy sobie jego wychudłe, nieprzytomne ciało przez ramię, uciekł w mrok.

Dziewczynka została. Sama, po zmroku, na wygradzonej palikami ścieżce, pozbawiona opieki.

\*\*\*

Sznur mocno opinał się na jego nadgarstkach. To pierwsze, co poczuł po przebudzeniu. Tępy ból w głowie wpływał na jego wzrok. W prawym oku pojawił się błyszczący, pulsujący w rytm uderzeń serca powidok.

Był przywiązany do ciężkiego, metalowego krzesła, które ewidentnie ktoś własnoręcznie zespawał tak, by niektóre elementy zostały zalane wylewką. Nieważne, jak bardzo mężczyzna wyteżał swe mięśnie, nie ruszyło się ani o milimetr. Jego ręce splatał sznur wijący się wokół mocowań w samym krześle. Jego nogi, rozłożone jak najmocniej, nie miały możliwości się złożyć. Przytrzymały go kawałki stali wspawane w siedzisko. Było mu niesamowicie wręcz niewygodnie. Zimna, nieustępliwa stal wbijała się w stare już kości. Mężczyźnie było ciężko oddychać przez stres i nieprawidłowe ułożenie ciała.

– Myślałem, że obudzisz się wcześniej. Na filmach zawsze jest to jakieś pół godziny – powiedział Napastnik, wylaniając się z półmroku. Dopiero teraz mężczyzna przyjrzał się miejscu, w którym się znajdował.

Ciemne pomieszczenie bez okien z jedną tylko żarówką zawieszoną na kablu zwisającym z sufitu. Ściany wieńczone odpadającym, szarym tynkiem. Mężczyzna szybko pomyślał, że muszą być w piwnicy jakiegoś starego budynku. Mimowolnie spojrzął na Napastnika, po czym od razu zamknął oczy i pochylił głowę na miarę swoich możliwości.

– Nie widziałem cię! – krzyknął przerażony sytuacją. – Nie widziałem twojej twarzy, nie rozpoznam cię przed policją! Po prostu odwiąż mnie i odejź! – niemal krzyczał. Wiedział, że powinien mówić cicho, by nie wywoływać na napastniku presji, ale nie mógł opanować emocji.

Był prokuratorem. Jego praca polegała na oglądaniu makabrycznych scen zbrodni, jednak zawsze oddzielały go od nich tabuny policjantów i fakt, że najczęściej patrzył na nie na zdjęciach z komentarzami analityków. Teraz, gdy sam znalazł się w niebezpiecznej sytuacji, w miejscu zaprojektowanym i zbudowanym tak, by nadawało się do torturowania i ostatecznie zabicia, nie wiedział, jak się zachować. Jego mózg rozpaczliwie szukał wyjścia z sytuacji, rytm serca boleśnie przyspieszył. Pomyślał o żonie, kobiecie, z którą niezliczoną ilość razy miał się rozwieść, mimo że ją kochał, i o swojej córeczce, tak podobnej do dziewczynki, którą widział wcześniej w lesie.

Z zamkniętych oczu poleciały mu łzy.

– Ja jestem nikim, nie jestem trofeum! Nie wiem, kim ty jesteś, ale ja nie jestem kimś, komu warto robić krzywdę! – Mógł jedynie liczyć na to, że wzbudzi w Napastniku irytację poziomem jego zdobyczy.

Wiedział doskonale, że jedynym typem człowieka, który byłby w stanie tak dokładnie przemyśleć zbrodnię, by wynieść ofiarę z parku narodowego bez wpadki, i przygotować całą tę makabryczną scenerię, musiał być psychopata. Spróbował zatem odwołać się do narcyzmu, ich nieodłącznej cechy.

– Nie jestem już nawet prokuratorem! – kwilił dalej. – Wyjebali mnie, nawet dwudziestosiedmiolatek jest w tej robocie lepszy ode mnie!

– Wiem kim jesteś – powiedział spokojnie Napastnik. Oddychał głęboko, ewidentnie smakując każdą sekundę swojej wyższości nad mężczyzną. Absolutną wszechmoc nad swoją ofiarą.

– Znasz mnie... C... czy ja cię skazałem? – Zimny dreszcz przeszedł po jego plecach. Jeśli tak, to nie jest w stanie zrobić nic, by się z tego wyłgać. Mógł jedynie cudem dostać się do telefonu, który zdawał się wciąż tkwić w jego kieszeni.

– Nie, nie skazałeś mnie – odpowiedział Napastnik, a w jego głosie zabrzmiała nutka gniewu.

– A więc co? Co zrobiłem?! – zakwilił mężczyzna, wierząc się na krześle. – Dam radę to naprawić! Przysięgam! Rozwiąż mnie i zrobię wszystko, by...

Siarczysty sierpowy ugodził go w szczękę tak, że jego głowa uderzyła w metalowe oparcie.

– NAPRAWISZ?! – ryknął Napastnik, uderzając go kolejny raz. – PRZYSIĘGASZ?! –

wrzeszczał, zadając kolejny cios. Przy czwartym jakby zawahał się i wrócił na zwykłe drewniane krzesło zajmowane wcześniej.

Od ciosów mężczyźnie pojaśniało trochę w głowie. Ból był ogromny, Napastnik na pewno wiedział, co robi. Na chwilę zamilkli obaj.

– J... jestem Andrzej. – wyjąkał mężczyzna. – Andrzej Jac... Jackowski. – Im bliżej będzie z napastnikiem, tym większa szansa, że wyjdzie z tego cało. – Mam żonę i dziecko. M... mam ich zdjęcie w portfelu! Zobacz!

Z zachęcającym spojrzeniem wskazał brodą na kieszeń w swojej sztruksowej kurtce, po czym znów zamknął oczy. Musiał bardzo uważać, by zobaczyć Napastnika tak, by ten o tym nie wiedział. W chwili, gdy ich spojrzenia spotkałyby się, byłby skończony. Póki Napastnik myślał, że może wyjść z tego cało, Andrzej miał szansę przetrwać.

Jeden krok i czyjaś ręka znalazła się na jego kurtce. Analityczne myślenie ruszyło. Ruch i dotyk były przytłumione, Napastnik musiał nosić rękawiczki. Gotów więc był go zabić. Mężczyzna na samą myśl przełknął ślinę.

Z daleka, zza miejsca oświetlanego przez małą żarówkę, słychać było, że nieznajomy przegląda mu portfel. Mężczyzna niemal modlił się w duchu, by Napastnik poczuł dla niego żal.

Doskonale pamiętał dzień, w którym zrobili to zdjęcie. Żona od rana nie dawała mu odpocząć podczas pierwszego urlopu, który mógł wziąć od dłuższego czasu. Wyjechali razem jego starym passatem do lasu na grzyby. Jesienny wiaterek ochładzał jego skórę. Córka pomogła mu zrobić „selfie”, na którym znalazła się i ona, i żona, która na chwilę troszkę się rozchmurzyła, i on. Nie mogła znieść, że resztę dnia chciałby oddawać się swojemu hobby. Zawsze była przeciwna jego wyjściom z domu. Wiedział, że jest z nim tylko ze względu na córkę. Nic więcej ich już nie łączyło.

– Widzisz? N... nie wiem, czy wiesz, ale tylko ja w mojej rodzinie pracuję. One... Ktoś musi się nimi opiekować. Ja... już dostałem nauczkę. Nie wiem, co ci zrobiłem, ale żałuję z całego serca.

– Masz piękną córkę – powiedział Napastnik załamującym się głosem.

– Tak... W tym roku będzie miała już siedem lat. Dostyc późno nam się zebrało co? – próbował zażartować, z całych sił skupiając się na tonie głosu nieznajomego. Łamał się... Dlaczego? Czy...

Krok. Napastnik złapał go za włosy i pociągnął pochyloną głowę w górę.

– Spójrz na mnie! – rozkazał.

– N... nie chcę... – odpowiedział mężczyzna w nagłym ataku paniki. Tylko nie to. Jeśli się tego domaga, podjął już decyzję.

– Spójrz na mnie! – warknął na niego Napastnik.

– Nie... nie widziałem cię! Możesz stąd po prostu odejść, proszę cię, po prostu stąd odejdz... Ja chcę wrócić do domu, do żony, do córki, proszę cię! Błagam, nie zabieraj im mnie!!!

Sekunda. Dokładnie tyle zastanawiał się Napastnik. Sekunda, która obfitowała w coraz to większą nadzieję u Andrzeja. Może go to ruszyło, może pomyślał chwilę. Rodzina musiała być czułym punktem tego człowieka. Zaczął szybko szukać faktów, którymi mógłby zaskarbić sobie jego sympatię.

– SPÓJRZ NA MNIE, KURWO!!! – usłyszał ryk zaraz przy swoim uchu. Jego ciało na chwilę odmówiło posłuszeństwa. Wił się w więzach, wydając z siebie niezrozumiałe kwilenie, w panice przestał myśleć.

– POMOCY! POMOCY! MORDERCA!!! – wydarło mu się z gardła, jak dziecku, które nie wie, co robić.

Napastnik uderzył go w nos. Głowa upadła boleśnie na oparcie krzesła, przez chwilę czuł jej zawroty.

– Powiem ostatni raz: spójrz się na mnie. Inaczej wydlubię ci te oczy – usłyszał szept zaraz przy swoim uchu. Przełknął ślinę. Musiał wykonać te żądanie.

Posłusznie otworzył oczy i spojrzał prosto w twarz Napastnika. Cofnął trochę głowę, która znów mu opadła i zatrzymała się na napiętych, związanych za plecami rękach.

Nieznamy miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Od co najmniej dwóch dni się nie golił. Przekrwione oczy, w których pulsowały nienawiść i obrzydzenie, były niebieskie jak ocean. Jego kruczoczarne włosy opadały tłustymi falami na czoło, a sama twarz wyglądała, jakby była wyciosana w kamieniu. Mimo strachu mężczyzna zauważył, że Napastnik jest nad wyraz przystojny i muskularny. Wyglądał jak ktoś z reklamy majtek Calvina Kleina.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał, obnażając równe, acz już nie tak białe zęby.

– N... nie mam pojęcia – stwierdził mężczyzna, wahając się.

Przeszukiwał swoją pamięć, by jakoś dowiedzieć się, z kim ma do czynienia. Urazy głowy jednak z pewnością zrobiły swoje. Nie potrafił się skupić. Zaczęło mu wirować w żołądku i zwymiotował na siebie. Napastnik skutecznie odsunął się na bok. Zapach w pomieszczeniu niemal natychmiast przeszedł ze stęchlizny mebli, które kiedyś z pewnością tu stały, swądu metalu i dymu papierosów w odór kwaśnej treści żołądka.

Andrzej wypluł część pieczarki, która została mu w ustach, i spojrzał na Napastnika błagalnie.

– Proszę... Ja... ja jestem nikim! Nikim, rozumiesz?! Nic mi się nie udaje! Chcę to



naprawić! Od roku naprawiam małżeństwo, bo Bożena chce się ze mną rozwieść. Od paru miesięcy próbuję wrócić do prawa. Proszę, nie zabieraj mi tej szansy, ja zrobię wszystko! – Łzy leciały mu z oczu niemal ciurkiem. Z każdym słowem jego ton stawał się coraz bardziej błagalny. Napięcie rozrywało go od środka. W głowie szumiało, w żołądku wirowało nieznośnie.

– Gdybyś wiedział, kim jestem, wiedziałbyś też, że to niemożliwe... – odpowiedział Napastnik, niemal jakby tego żałował.

– Nie wiem, kim jesteś, i to jest najważniejsze! Proszę! Nie zgłoszę tego na policję! Błagam cię, pozwól mi po prostu wrócić do rodziny!

– Nie – odpowiedział mężczyzna, sięgając do skórzanej walizki przy krześle. To, co z niej wyjął, zmroziło Andrzejowi krew w żyłach.

Długi na piętnaście centymetrów nóż myśliwski. Napastnik powoli podszedł z nim do swej ofiary, błyszczącym w półmroku od światła żarówki.

– Błagam... – wydusił z siebie Andrzej i jęknął ze strachu. – Błagam cię, błagam cię, błagam... – Każde słowo było coraz bardziej rozpaczliwe.

Napastnik zawahał się, jakby nie chciał tego zrobić, po czym wbił nóż w dłoń Andrzeja. Ból aż wstrząsnął ciałem mężczyzny, który bezwiednie zaczął miotać się na tyle, na ile pozwalały mu więzy.

„Boże to zaraz się stanie, błagam cię Panie, obroń mnie!”, myślał. „Panie, błagam cię, wybaw mnie od niego. Jeśli przeżyję, obiecuję, że będę lepszy!”.

– Ja wiem, kim jesteś – mówił Napastnik przez zaciśnięte zęby. Odwiązał przebitą dłoń i natychmiast przywiązał do sufitu sznurem, który z niego zwisał. Zanim Andrzej zdołał coś powiedzieć, oprawca złapał nóż, który przebił dłoń na wylot. Spojrzał mężczyźnie w oczy, z mieszaniną furii i pogardy, po czym do taktu krzyków z bólu zaczął kroić jego dłoń w górę niczym chleb.

– Wiem, co robisz. – Kontynuował przecinanie dłoni. Musiał nie trafić w żyłę, bo choć z rany wypływały ogromne ilości krwi, nie wylatywała pod ciśnieniem. A w tym momencie musiało być ono ogromne od bijącego szaleńczo serca. – I wiem, co chciałeś zrobić, dzieciójebco.

– PRZESTAŃ, PRZESTAŃ, PRZESTAŃ! – wrzeszczał Andrzej.

Napastnik puścił ostrze. Zostało w dłoni, rozlewało upiorny chłód w kończynie.

– Proszę, puść mnie... puść mnie... puść... – kwilił.

– Nigdzie nie idziesz, kurwo jebana! Zabiłeś mi córkę!

– Nie ja...nie ja...

– TY! Wiem to na pewno! Przyznaj się! Przyznaj, że to zrobiłeś! – wrzeszczał napastnik. – Porwałes ją! Zgwałciłeś i powiesiłeś! PRYZNAJ SIĘ!!!

– Ja... Nigdy...

Uderzenie nieco oprzytomniło Andrzeja. Musiał mu powiedzieć, przekonać go, jednak chłód rozchodził się szybko po ciele. Ciepła posoka leciała mu po ramieniu, musiał stracić już prawie litr krwi.

Napastnik myślał, zawahał się, po czym sięgnął do torby i wyciągnął sznur. Podszedł do Andrzeja i zawiązał węzeł u szczytu ramienia.

– Pić... Proszę... – wyjąkał i, o dziwo, już po chwili na jego twarz zaczęła się lać woda z butelki. Zmobilizował więc siły i podniósł nieco głowę, by płyn wciekał mu do ust. Pił posłusznie, z ulgą, myśląc o tym, jak ubrać w słowa to, co chciał przekazać. Obmyślał, jak poprowadzić rozmowę, by odwieść Napastnika od takiego wniosku.

– Dziękuję... Daj mi wyjaśnić... Ja nie jestem tym, kogo szukasz... T... też mam córkę, przecież nie skrzywdziłbym dziewczynki... Byłem prokuratorem, ja... bronię ludzi – jąkał się i co chwilę przełykał ślinę, ale musiał to powiedzieć. – Nie wiem, jak wpadłeś na mnie, ale... nie ja...

Pod koniec zaczęło mu brakować sił. Wracały powoli, od kiedy krew nie uciekała z niego tak szybko. Wirowanie w głowie powoli ustawało. Wzrok na powrót się wyostriżył.

– Mam całkowitą pewność, że to ty – odpowiedział Napastnik.

– Nie ja... Skąd masz taką pewność?! – wypalił. Musiał poznać argumenty, by je podważyć.

– To już bez znaczenia, jak wpadłeś – powiedział spokojnie mężczyzna, zaglądając do torby.

– Ja nie... Proszę, powiedz mi, to na pewno pomyłka... Ja jestem normalny... Proszę, powiedz mi! Pomyśl, co jeśli to tylko wielka pomyłka?! Zabijesz mnie? Chcesz być mordercą?!

– Skąd pomysł, że już nim nie jestem? – zapytał mężczyzna znudzony. Wyciągnął wreszcie z torby to, co chciał. – Nachodziłem się za tym. Od tego mieliśmy tak naprawdę zacząć... – W jego rękę zaświeciły kombinerki. – Sporo oglądałem filmów o torturach. Wiesz, że jest ich naprawdę wiele?

Wydawał się bardziej wyluzowany, jakby zrzucał z siebie ciężar, jakby skończył się wahać. Złość i zemsta wzięła nad nim górę.

– Myślałem, żeby obcinać ci palce jak w filmach o mafii, ale trochę więcej krwi i zemdlejesz, a to nie o to chodzi. Musisz być przytomny do końca – Mówiąc to, zbliżył się

do niego i z diabelskim uśmiechem puknął go narzędziem w czoło. – Będziesz cierpieć – powiedział już niskim wibrującym głosem, w którym zemsta i żądza krwi wiodły prym. – Jak moja córka cierpiała przez ciebie.

Pochylił się i zdjął mu lewy but. Andrzej ruszał stopą w prawo i w lewo, by mu to uniemożliwić, skomlał przy tym jak dziecko. Mężczyzna złapał ją jednak w swoją mocną dłoń, obnażył i klęknął na jego śródstopiu, by przygwoździć je do ziemi. Złapał kombinerkami za paznokieć małego palca i zaczął ciągnąć.

Andrzej próbował podejmować ostatnią walkę, na przemian walcząc i kwiląc o litość. Ból paraliżował mu całą stopę, czuł, jakby Napastnik miał wyrwać mu cały palec. Jęki przeszły w krzyk i nagle po niewiarygodnie długich dwudziestu sekundach paznokieć oderwał się od palca. Ból nie ustał, ale się zmniejszył. Można by nazwać to ulgą, gdyby nie przykre uczucie, że to nie koniec. Panika pięła się po kręgosłupie Andrzeja jak grupa pajaków.

– Skąd... skąd... – wyszeptał Andrzej i głęboko wciągnął powietrze.

– Skąd wiem, że to ty? – odpowiedział Napastnik, ewidentnie gotów, by przedstawić mu dowód.

– Tak...

– Cóż... Może od początku – zaczął, w międzyczasie łapiąc kolejny paznokieć między szczypcy kombinerek. – Jakoś rok temu, jakiś czas zanim wróciłem z misji w Syrii, moja żona i córeczka pojechały pozwiedzać sobie ten park. Natalka chciała zobaczyć Maczugę Herkulesa... Wiesz, jakie są dzieci... – mówiąc to, ciągnął paznokieć coraz mocniej.

Gdy to powiedział, zatrzymał się na chwilę, prychnął w stylu wisielczego humoru i dodał:

– Kto, jeśli nie ty. – Po czym wyrwał kolejny paznokieć jednym ruchem. – Mała odbiegła trochę dalej niż powinna. Akurat miałem moment, że mogłem zadzwonić, więc oczywiście to zrobiłem. Żonka nie wiedziała, czy się cieszyć, czy wkurzyć, bo była wręcz maniaczką zdjęć. Naprawdę, co wyjście potrafiła zrobić ich z tysiąc, kompletnie nie rozumiałem, po jaką cholere. – Odetchnął trochę.

Andrzej wyczuwał, że już niedługo dowie się wszystkiego. Już myślał, by zacząć rozmowę, gdy Napastnik złapał szczypcami kolejny paznokieć.

– Widzisz, Natalka zaginęła. Anita stawała na głowie, żeby ją znaleźć. Słyszałem, że policja z całego województwa nie miała prawa skończyć służby, zanim Natalka nie wróci do domu. W sprawę wmieszali się obywatele miasta iiii... – tu kolejny paznokieć opuścił

ciało do wtóru stłamszonych jęków Andrzeja – ...do tego programy telewizyjne. Podobno cała Polska nas wspierała. Na naszą korzyść działało to, że byłem już wtedy na wojnie. To jedyne, co było w tym dobre. Wysłali mnie do kraju w trybie natychmiastowym, ale i tak byłem w domu po trzech dniach. Trzech okropnych dniach bezradności, tysiące kilometrów od mojej małej dziewczynki, którą kochałem nad życie. Która w tym czasie mnie potrzebowała.

Wszystkie paznokcie lewej stopy leżały już na ziemi. Napastnik zawiesił się na chwilę, mówił coraz szybciej. Opuścił głowę, najpewniej znów smakując ból, który zadał.

– Gdy doleciałem, Natalkę już znaleziono. W starym, opuszczonym zakładzie produkcyjnym na uboczu miasta. Policja nie chciała nam powiedzieć, co się z nią stało. Pytaliśmy tygodniami, nie mogliśmy dać sobie z tym rady. Chciałem wiedzieć co, a przede wszystkim kto jej to zrobił.

Jego postura przygasła jeszcze bardziej i mimo swoich sporych rozmiarów wyglądał teraz bezbrinnie. Jeszcze żywy trup.

– W końcu zadzwoniłem do swojego przełożonego z Syrii. Dobry chłop, wiedział, przez co przechodzę. Żona wykorzystała jego problemy z alkoholem i odebrała mu prawa rodzicielskie. Wiedział, jak to jest stracić dziecko, więc wykonał parę telefonów. Ale zanim mi powiedział, kazał mi się dokładnie nad tym zastanowić. Myślałem ze trzy dobre dni, zanim się odważyłem. Gdy już mogłem się dowiedzieć, bałem się tego. Zwyciężyła ciekawość. Usłyszałem, że moją córkę ktoś najpierw pobił, potem związał, zgwałcił wielokrotnie, trzymając jak psa na smyczy, zakneblowaną i nagą, a gdy już mu się znudziło, na tej samej smyczy powiesił ją pod sufitem jakiejś krokwi.

– Tak mi przykro... – odezwał się Andrzej. Nie spodziewał się, jak bardzo będzie tego żałował.

Cios spadł na niego niczym grom z jasnego nieba. Później kolejny i kolejny. Napastnik rozbił mu łuk brwiowy i złamał żebro. Bił go i bił, warcząc i jęcząc w rozemocjonowanej furii. W końcu zatrzymał się. Musiał wiedzieć, że jeśli przesadzi, Andrzej zginie, zanim pocierpi wystarczająco. Napastnik cofnął się, jakby wrócił mu rozum, i opadł na swoje krzesło, oddychając ciężko, jakby zmierzył się z nosorożcem.

Nastało milczenie. Przeciągająca się chwila, w której Andrzej starał się złapać równy oddech. Rana w dłoni już mu tak nie dokuczała.

– Gdy się dowiedziałem, było mi jeszcze ciężiej. Wiedziałem, że moją córeczkę nie tylko zamordowano, ale i gwałcono, i upokarzano w ostatnich chwilach życia. Widziałem sporo na wojnie, ale gdy to spotyka swoją rodzinę... nie wiesz, co robić. Żona oczywiście

zobaczyła, że zrobiłem się bardziej cichy i szukałem samotności. Wiele razy klócilismy się o to. Nie chciałem jej tego mówić. Nie chciałem, żeby cierpiała, a ona widziała, że coś ukrywam. W końcu pękłem. Powiedziałem jej. Źle to przyjęła. Wszystko, co było między nami, umarło wtedy dla niej z dnia na dzień. Widziałem to w jej oczach. Nie wiem, jak mogłem nie zauważyć, że to nie wszystko... Niecałe pół roku temu znalazłem ją martwą w łazience. Podcięła sobie żyły. Wiesz, co mi napisała? WIESZ, KURWA?! – Z każdym słowem przyspieszał i podnosił głos, do tego stopnia, że teraz już krzyczał.

Wstał z krzesła, wyprężył się gotów do uderzenia i podszedł, krzycząc:

– „PRZEPRASZAM, ŻE CIĘ ZOSTAWIAM. ASPIRYNA JEST NA UMYWALCE RAZEM Z DRUGĄ ŻYLETKĄ. KOCHAM CIĘ, NIE KAŻ MI DŁUGO NA SIEBIE CZEKAĆ”!!! ROZUMIESZ KURWA?!

– TO NIE BYŁEM JA! – wykrzyczał w końcu Andrzej.

Zawiodły go wszelkie taktyki, których próbował. Zdał się na emocje. Nie mógł nic więcej poradzić. Zdziwił się, kiedy Napastnik zatrzymał się w pół ciosu. Potem nagle wstał i podszedł do swojej torby. Wyciągnął z niej telefon i zaczął czegoś w nim szukać.

– To nie byłem ja... Nie wiem, jak mogę ci to udowodnić... – mówił dalej Andrzej.  
– Może...

– Zaraz cię zabiję, ale zanim to zrobię, chcę żebyś się przyznał. Żebyś powiedział, że to zrobiłeś. Póki tego nie zrobisz, będę cię torturować w każdy sposób, jaki przyjdzie mi do głowy.

– Skąd wiesz, że to ja?! – krzyknął Andrzej, straciwszy cierpliwość.

Cierpienie dodało mu zadziwiająco dużo odwagi. Napastnik milczał przez chwilę, po czym wrócił do opowieści.

– Parę miesięcy temu policja umożliwiła śledztwo, każdy ślad był ślepą uliczką. Myśleliśmy, że na którymś z tysiąca zdjęć znajduje się morderca, więc oddaliśmy im telefon. Moglibyśmy to im zwyczajnie przegrać na dysk, ale chyba nie chcieli, żebyśmy je mieli i szukali na własną rękę. W każdym razie, gdy śledztwo się skończyło, uznali, że mogą oddać nam komórkę. Kurwa... – Zrobił przerwę, uśmiechając się lekko, zwycięsko. – Ze dwa miesiące przyglądałem się im wszystkim. Na żadnym zdjęciu z parku nie było widać nic złego. Któregoś razu po prostu puściłem sobie to jako prezentację, jedno zdjęcie na dziesięć sekund, i podczas przeglądania zasnąłem. Przespałem całą wizytę w parku i program cofnął się do wydarzeń na parkingu... To było jak grom z nieba, to... Jeśli Bóg istnieje, to chciał, żebym cię, kurwo, dorwał. POWIEDZ MI, SKURWYSYNU, ŻE TO NIE JESTEŚ TY NA KAŻDYM ZDJĘCIU, PO KRYJOMU ŚLEDZISZ MOJĄ ŻONĘ I CÓRKĘ!!! – ryczał,

przystawiając mu telefon pod oczy.

Na każdym zdjęciu na drugim planie widział mężczyznę w żółtej koszulce polo i sztruksowej kurtce. Nie było pewności, że to on. Z takiej odległości mógł być to każdy, a i zdjęcia nie były najlepszej jakości. Andrzej nie mógł powiedzieć na pewno, w końcu jego wzrok zaczął już odmawiać posłuszeństwa, jednak na żadnym zdjęciu nie było widać jego twarzy. Nie w jakości, która pozwoliłaby go rozpoznać.

– Nie widać... twarzy – wysapał mężczyzna.

– Ano nie... Nie dość dobrze. Wtedy wiedziałem, że na coś wpadłem. Wiesz, że w parku są kamery? Oczywiście, że wiesz. W końcu ich unikałeś... Specjalnie zatrudniłem się jako ochroniarz, żeby przejrzeć nagrania, zanim usuną je z dysków. Na żadnym nie było widać, jak porywasz moją córkę, ale na jednym była twoja twarz. Dość wyraźna, żebym mógł wryć ją sobie w pamięci. Dzisiaj wieczorem cię zobaczyłem. Wszystko tutaj było gotowe od dawna, wiedziałem, że w końcu wrócisz. Tygodniami rozgryzałem, kim jesteś, a dzisiaj dałeś mi ostatni kawałek układanki...

– Co? Co ty pierdolisz? – wycharczał Andrzej. – Nic ci nie dałem...

– Rozwód! – krzyknął napastnik. – Powiedziałeś, że od roku żona chce cię zostawić i zabrać córkę od ciebie! Rok temu zginęła moja córka! Tracisz ją i pocieszasz się, kurwo, innymi!

Uderzenie w twarz złamało Andrzejowi nos. Krew pociekła od razu do ust. Mężczyźnie coraz bardziej chciało się pić. Z pewnością z powodu utraty krwi, która zaczęła stwarzać małą kałużę u jego stóp.

– Ja nie... – zaczął, ale Napastnik znów go uderzył.

– Przeszukałem cię! – ryknął.

„Wspinaczka na skałę! Wspinaczka na skałę! Muszę mu powiedzieć, że wspinałem się na skałę!”, myślał gorączkowo Andrzej.

– Miałeś przy sobie sznur! Taki sam, na jakim powiesiłeś Natalkę! – Wyciągnął z kieszeni własnej czarnej kurtki sznur do wspinaczki górskiej i rozdygotany z wściekłości włożył mu go do ust, czym niemalże wyłamał mu zęby. Po czym uderzył go z lewej i z prawej strony pięściami i poprawił kopniakiem w szczękę. Andrzej opadł trzymany przez więzy. Czuł chłód zbliżający się do niego niczym drapieżne zwierzę. Niemal je widział. Niemal słyszał lekkie powarkiwanie w ciemności. Niemal widział wilka o czarnych oczach, przychodzącego, by zabrać go na tamten świat.

– Dzisiaj wyszedłeś znowu na żer, prawda?! Wiedziałem, że tu wrócisz! Obserwowałem sytuację wszędzie! Wiedziałem to! – krzyczał Napastnik z mieszanką

szaleństwa i zadowolenia z siebie przykrytych gniewem.

– Ja nie... – zaczął Andrzej, ale Napastnik znów zamknął mu usta. Tym razem wyłamując lewą jedynekę.

– Dziewczynka miała na plecaku numer telefonu! – krzyknął do niego. Jednocześnie przystawił nóż zaraz pod jego okiem, wbiłgo z całej siły płazem w skórę, jakby miał mu zaraz wykolic oko. – Ty masz telefon! Dlaczego szedłeś z nią w las?! DLACZEGO NIE ZADZWONIŁEŚ?!

Seria ciosów posypała się na Andrzeja niczym grad. Część z nich była już słabsza. Mężczyzna nie wiedział, czy to przez to, że Napastnik słabł, czy to on po prostu przestaje już cokolwiek czuć. Zrezygnował z prób wrócenia do normalnej pozycji. Pozwolił pięściom Napastnika wciskać go w metalowe oparcie z każdym potężnym ciosem. – Przyznaj się! Przyznaj się! Przyznaj się! Dlaczego?!

– BYŁA MOJA!!! – wyrzycał w końcu Andrzej, przyznając się do winy.

\*\*\*

Paweł zawahał się. Dostał to, czego chciał. Miał to! Miał jego przyznanie się! Mógł to zrobić z czystym sumieniem. Planował od miesięcy! Wiedział co zrobić, wiedział, jak to zrobić. Z wigorem wbił mu nóż w nogę, patrząc, jak ta nędzna kreatura wije się w spazmach bólu.

„Masz kurwo! Masz! Cierp jak Natałka!”. Uderzył go w twarz. Skóra na jego knykciach dawno już popękała, jednak nie mógł się zatrzymać, nie mógł przestać wylewać z siebie bólu. Z każdym ciosem czuł, że bólu jest coraz więcej. To on, Paweł, był winny śmierci Anity, to on powiedział jej prawdę o Natalce. Gdyby tylko miał więcej siły, przynajmniej jedna z nich wciąż by żyła... Pamiętał rozmowę, w której nieświadomie utwierdził w tym żonę. Pozwolił sobie na chwilkę się w tym zanurzyć.

– Jak można przejść przez coś takiego – wyjęczała mu w ramię podczas jednego z ataków płaczu.

– Jestem przy tobie... – szepnął do niej, przytulając ją mocno, choć sam nie potrafił już być silny. Ryczał, wtulając się w żonę. Wręcz dygotał z żalości, na przemian zapadając w rozpacz i gardząc sobą, że nie ma więcej sił.

– Musimy przejść przez to razem – powiedziała w końcu. Wyłoniła się spod jego ramienia, z włosami przylepionymi łzami do policzka. – Ja, ty i Natałka... Musimy to zrobić razem...

– Tak – zapłakał wtedy, przytulając ją mocno, czując (jak myślał, Anita również

czuła) córkę wciąż przy sobie. – Przejdziemy przez to wszyscy, zrobimy to wszyscy razem – zapewniał, wtulając się w piersi żony, która z apatią wpatrywała się w sufit, niemal bezwiednie głaszcząc jego głowę.

– Zabij mnie wreszcie! Ty pierdolona kupo gówna! – wyrwał go z zamyślenia ten skurwiel, którego miał zamiar zamordować. – Chcesz znać prawdę?! Tak! Zabiłem twoją córkę! Tak, pierdoliłem twoją siedmioletnią córkę, aż jej cipsko krwawiło! A ty nic z tym już nie zrobisz! Zabij mnie, pokaż, że masz jaja! – Paweł nie potrafił tego słuchać. Jego umysł skurczył się do myśli:

„Zabić!”.

Złapał za nóż w udzie pedofila i wbił głębiej, aż po rękojeść. Ostrze zagrzechotało o siedzisko, musiało się wygiąć od uderzenia. Pawła uderzył zapach metalu. Czuł nieodpartą ochotę, by wykończyć to pierdolone ścierwo teraz. Zmiażdżyć, zgnieść, rozszarpać własnymi zębami, wbijając je po kolei w każdy skrawek ciała ofiary. Już był gotów to zrobić. Ruszył ciałem na pedofila, jednak w porę się opamiętał.

– Czy... czytałem o tym, jak zabijali w średniowieczu... – mówił, jękając się, walcząc ze ślepą furią wciąż wypełniającą jego ciało. – Pomysłu dostarczyła mi „Gra o Tron” – dodał, wyciągając z mroku metalowe wiadro z zestawem pasków, tak różnych od zwyczajowego uchwytu.

Oczy pedofila otworzyły się szerzej.

„Dobrze”, pomyślał Paweł. „Panika nie pozwoli ci umrzeć. Jeszcze długo nie...”.

Podszedł i zerwał z niego starą, taną koszulę, zakupioną pewnie w jakimś domatorskim sklepie, i przyczepił wiadro. Dwie części dospawane do krzesła, na którym znajdował się mężczyzna, świetnie usztywniające całą konstrukcję, były już gotowe.

– Myślałeś, że masz rozłożone nogi, bo będę chciał cię wykastrować, co? – powiedział, schylając się za ścianę mroku po raz kolejny. Wyciągnął część z jednorazowego grilla, który postawił między jego nogami, zaraz pod wiadrem. Nie musiał się martwić, że pedofil zrzuci z krzesła palenisko. Sznury trzymały go mocno, w końcu służyły do wspinaczki górskiej. Na górze wiadra zamontował prowizoryczne drzwiczki, by włożyć do niego szczury wierzące się w walizce od dłuższego czasu. Jeden prawie go ugryzł, gdy wyciągał z niej telefon Anity, a teraz mógł wreszcie włożyć je do pojemnika.

– *Szczurza ucieczka?* – spytał pedofil, już dużo mniej pewny siebie.

– Tak – odpowiedział Paweł, łapiąc jednego i wkładając do wiadra. Nie było to łatwe. Ten wił się i wierzgał, jakby wiedział, co zaraz się stanie – Na wysokości piersi zrobiłem w oparciu otwór. Jeśli się spiszą... może nawet z tego wyjdą...



Drugi szczur już wylądował w wiadrze. Paweł bezwiednie nadał im wszystkim imiona. Analogia była wręcz zbyt widoczna. Ze wszystkich szczurów, jakie mógł kupić, dostał akurat samca i dwie samice. Jedna, ta mniejsza, wiała się dużo mniej. Miała jasną jak na szczura sierść i patrzyła na niego inteligentnymi oczami.

– Musimy przejść przez to wszyscy – szepnął do niej, po czym włożył ją do wiadra. Sięgnął do schowanej za plecami pedofila spawarki, przypiął elektrodę, założył na twarz maskę spawalniczą i zaspawał ostatnie wyjście z wiadra. Opadł na krzesło.

Już prawie koniec. Jeszcze tylko trochę.

Cały ten czas musiał zbierać w sobie siły, by dokonać finalnego aktu. Od czasu do czasu łapała go wewnętrzna słabość, cichutki głosik mówiący o tym, że z każdą sekundą coraz bardziej staje się potworem, którego planował zabić.

– Jesteś potworem – powiedział, jakby na potwierdzenie, mężczyzna mający zginąć. – Nieważne, co zrobiłem. To, co ty zrobisz będzie jeszcze gorsze.

– Możliwe – odparł Paweł, zatrzymując się na chwilę. Wyciągnął z kieszeni paczkę rothmansów i wyjął jednego papierosa. Pociągnął za krzemień w zapalniczce. Ta wyrzygała płomień z głuchym dźwiękiem. Zaciągnął się, z mlasknięciem oderwał usta od filtra. Wciąż trzymał odpaloną zapalniczkę. Płomień zaczynał powoli parzyć go w palce, jednak nie puszczał, chciał mocno osadzić się w tym momencie. Zrobić z tego dnia święto cierpienia i ekstazy. Święto sprawiedliwości.

„Dość”, pomyślał sobie i wsadził płomień do podpałki wyłożonej żelazną brytfanną. Była tam mieszanka brykietu, drewna i rozpałki. Chciał mieć pewność, że płomień będzie gorący i długotrwały. Podłożył brytfannę pod wiadro, w którym szczury piszczały żałośnie, i pociągnął jeszcze raz z papierosa. Jego usta przywarły nieco do bletki, gdy z nerwów ślina wyschła i zmieniła się w klejącą maź. Uśmiechnął się smutno, żałośnie.

Zaczął palić po wypadku. Jakiś czas nawet ćpał. Wszystko, by uciec od tego bólu. Myślał, że gdy już dorwie sprawcę, ból magicznie zniknie. Tak mówił rozsądek, całym ciałem czuł, że musi to zrobić, by poczuć się lepiej. By dać Natalce spokój. Jak dziś pamiętał, jak raz testował, czy dziewczynka daleko zajdzie w życiu. Dał jej kostkę czekolady i powiedział, że jeśli jej nie zje w ciągu pięciu minut, dostanie kolejną. Gdzieś wyczytał, że jeśli dziecko wytrzyma, to będzie odnosić sukcesy. Ona wytrzymała.

Gdy zadowolony i pełen nadziei dawał jej drugą kostkę, ta tylko pokręciła głową i mruknęła:

– No, zjedz ją ze mną.

Łza pociekła Pawłowi po policzku. Niemal nie słyszał jęków szczurów i krzyków

pedofila. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z piwnicy na świeże powietrze. Zaczerpnął dymu jeszcze raz i wsiadł do samochodu.

Odjechał. Znał świetnie drogę, jechał nią niejednokrotnie. Zaparkował pod ich mieszkaniem. Miał wszelkie klucze, mimo że dawno się z niego wyprowadzili. Otworzył klatkę schodową bloku, który znał aż za dobrze, i ruszył schodami na górę. Na szczycie przekręcił klucz w zamku i wyszedł na dach. Wiał wiaterek chłodzący jego spoconą twarz, noc była ciepła. Cieplesza niż większość o tej porze roku. Szedł do krawędzi, a w jego głowie bzyczał jak komar głos Pedofila: „Jesteś potworem”.

– Możliwe – powiedział w powietrze, po czym uśmiechnął się. – Wszyscy razem – szepnął w noc i rzucił się z dachu.



# NIE ZROBIĘ TEGO

Mariusz Maru Stańczyk

Syrena alarmowa zawyła przeciągle, a jej dźwięk, pomimo żaru bezlitośnie lejącego się z nieba, zmroził im krew w żyłach. Echo rozniosło się po dżungli i przywiodło Stanowi na myśl zawrodozenie wścieklej, zranionej bestii przedzierającej się przez gąszcz prosto w ich stronę. I słusznie – żołnierze z wietnamskiego patrolu mogli namierzyć ich lada moment, a to spotkanie zapewne zakończy się równie krwawo.

– To wszystko przez Młodego – warknął. – Zachowywał się za głośno.

Zmierzył karcącym wzrokiem obu swoich współtowarzyszy w pośpiechu zsuwających karabiny przewieszane przez ramiona.

– Ołać to. Żywcem nas nie wezmą – odparł Nick, odbezpieczając broń. Choć jego głos brzmiał pewnie, palce pozostawiły na kolbie kilka mokrych śladów.

– Módlcie się, żeby tak było. Inaczej nadzieją nas dupami na bambus, a wtedy własnoręcznie was zamorduję. – Stan zaczął powoli się wycofywać, gestem nakazując reszcie to samo. – Zawróćmy i przyczajmy się gdzieś, może uda nam się ich zaskoczyć.

Syrena niespodziewanie ucichła. Cisza, która zapadła w gęstej roślinności otaczającej całą trójkę, była nieznośnie nagła i głęboka. Wszyscy drżeli z niepokoju i niezdrowej ekscytacji. Szli tyłem, z palcami na spustach.

Napastnicy pojawili się jakby znikąd. Dwóch żołnierzy wyłoniło się z chaszczy po prawej, z dzikim krzykiem na ustach. Jeden z nich błyskawicznie uniósł broń i strzelił serią. Nick stęknął głucho i, upuściwszy karabin, osunął się na ziemię. Objął rękoma podziurawiony kulami brzuch. Strzelec nie tracił ani chwili i rzucił się na Dave'a. Zanim zdezorientowany chłopak zdążył zareagować, stał już rozbrojony, z lufą przytkniętą do piersi.

Tymczasem Stan odskoczył w tył, o włos uniknąwszy kolby opadającej wprost na jego czoło, by za moment odparować za pomocą własnej broni kolejne uderzenie, tym razem na wysokości żeber. Wyprowadził kontrę, jednak napastnik rzucił się w bok. Stan zachwiał się, gdy jego cios trafił w pustkę.

Zaraz potem jego lewa ręka eksplodowała bólem.

– Aua, kurwa! – wrzasnął, chwytając się za zdrętwiałe ramię. – Nie w szczepionkę! Przerwa! Przerwa!

Ben odchylił głowę do tyłu i roześmiał się triumfalnie. Po chwili dołączyli do niego pozostali chłopcy, z rozbawieniem obserwując, jak Stan, sycząc przez zęby i podskakując, rozciera miejsce trafione drewnianym karabinem.

– Kulwa! – wykrzyknął Dave.

– Nie mów tak! – Nick poderwał się z ziemi i otrzepał spodnie z sosnowych igieł przyczepionych do materiału. – Nie wolno tak mówić!

Dave zachichotał jeszcze głośniejszym głosem na widok oburzonej miny starszego brata.

– Mówię serio. Bo rodzice zabronią nam się tak bawić, jeśli się dowiedzą.

Roześmiany czterolatek już nabierał powietrza, by ponownie pochwalić się nowo poznanym słowem, jednak groźba poskutkowała. Chłopiec zacisnął usta w wąską kreskę i potulnie spuścił wzrok.

– Zepsuliście klimat, panowie – powiedział Phil z udawanym żalem. – A ja się naprawdę wczułem.

– Powinieneś znosić ból jak mężczyzna – Nick zwrócił się, już nie tak poważnym tonem, do Stana. – I nie bluzgać przy Młodym.

– Nie udzielaj się. Ty nie żyjesz – odciął się Stan. Po chwili wreszcie i on parsknął

śmiechem. – Nieźle mnie grzmotnąłeś, Ben. Odegram się, słowo daję.

Ben w odpowiedzi wyszczerzył zęby. Stał na szeroko rozstawionych nogach i z wprawą przerzucił broń z ręki do ręki.

– Spróbuj. – Skinął prowokująco dłonią.

Stan zaatakował ponownie. Był środek lipca, w lesie skąpanym w promieniach wakacyjnego słońca oddechy chłopców szybko stały się ciężkie. Pot spływał strugami z ich twarzy, dostawał się do oczu, szczypał i oślepiał – tym samym utrudniał wyprowadzanie oraz parowanie ciosów. Byli tak samo szybcy i sprawni, lecz mimo że walka na pierwszy rzut oka zdawała się wyrównana, niezachwiany spokój, z jakim Ben rozgrywał swego narwanego przeciwnika, dawał mu coraz większą przewagę.

Nick z nieskrywanym podziwem obserwował, jak broń wytrącona z ręki Stana, kręcąc piruety, odlatuje gdzieś w bok, a chłopiec zostaje powalony jednym sprawnym ruchem i rozłożony na łopatki przez swojego przyjaciela. Przez cały ten czas Ben wręcz emanował pewnością siebie – jak zwykle zresztą.

Wrócił myślami do tej pamiętnej przerwy między lekcjami, zaraz na początku roku szkolnego, którą spędzał – jak na nowego dzieciaka przystało – samotnie, siedząc na końcu korytarza, ze wzrokiem utkwionym w najnowszej powieści Stephena Kinga. To właśnie wtedy podszedł do niego Benjamin Wallen we własnej osobie.

Mógł to być twój pierwszy tydzień w nowej szkole, a i tak to wiedziałeś. Wszyscy znali Bena. Wszyscy go lubili, nawet nauczyciele, choć oceny miał nie najlepsze. Stał przed nim, z tą swoją burzą ciemnych loków przyciągającą spojrzenia dziewczyn i ze wzrokiem urodzonego przywódcy. Nick rozpoznał także chłopca stojącego krok za nim, po lewej stronie – był to Stanley. Nawet w najgęstszym tłumie uczniów wędrujących z klasy do klasy nie dało się nie zwrócić uwagi na te chude ramiona pokryte dziesiątkami rysowanych markerami tatuaży – efekt wielu godzin spędzonych w nudnych salach lekcyjnych i powód dość częstych wizyt rodziców Stana u wychowawcy. Chłopak po prawej, w poszarpanych džinsach i flanelowej koszuli, z grzywką zasłaniającą niemal pół twarzy – tego Nick dowiedział się już wkrótce – miał na imię Phil.

– Siema – powiedział Ben i wyciągnął dłoń na przywitanie. Tak po prostu.

Znaleźli wspólny język niemal natychmiast. Resztę dnia spędzili pograżeni w rozmowach na typowe dla jedenastoletków tematy: filmy, komiksy czy drobny biust Stacey Williams, od niedawna rysujący się dość wyraźnie pod noszonymi przez nią luźnymi bluzkami.

Tak Nick stał się częścią paczki Bena, choć ten nigdy nie zachowywał się jak

przywódca. To otaczająca go aura, niewysłowiona siła sprawiała, że pozostałym chłopcom całkiem naturalnie przychodziło oddawanie inicjatywy właśnie w jego ręce.

Tak jak teraz.

– Stanley przegrał pojedynek, a wy razem z nim – powiedział Ben, podając dłoń Stanowi i pomagając mu wstać. – Należy wam się kara.

– Masz jakiś pomysł? – spytał Phil. W jego głosie słychać było wyraźną satysfakcję. Dwa dni wcześniej został pokonany przez Stana, który podstępnie wykorzystał łaskotki, by uwolnić ramię z założonej dźwigni i zacisnąć wokół jego szyi. Phil musiał odklepać, a potem, w ramach kary, stać przez trzydzieści sekund w mrowisku. Gdyby podciągnął nogawki swoich ulubionych dziurawych dżinsów, które miał dziś na sobie mimo dokuczliwego upału, można by zauważyć, że czerwone, piekące ślady ugryzień sięgają aż do jego kościstych kolan.

– Mam – odparł Ben. Wstrzymywał się przez chwilę z odpowiedzią, czerpiąc nieskrywaną satysfakcję z wlepionych w niego, pełnych wyczekiwania spojrzeń czterech par oczu.

W milczeniu wskazał ręką przed siebie, w miejsce, z którego dochodził cichy szelest zeschniętych na wiór liści.

Chłopcy podążyli wzrokiem za wyciągniętym palcem przyjaciela i ujrzeli tłustą, szarobrazową ropuchę, niezdarnie gramolącą się przez stertę ściółki i drobnych patyków. Z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia obserwowali, jak ogromny płaz – „Dave nie zmieściłby jej w dłoni”, pomyślał Nick – wywraca się na plecy, odsłania oślizgły biały brzuch i, rozkładając szeroko kończyny, wydaje z siebie żaloszny skrzek.

– Musicie ją polizać.

Nie zwlekając ani chwili, Ben podbiegł, podniósł wierzgające błoniastymi łapami stworzenie i podstawił Nickowi niemalże pod sam nos.

– Mówisz poważnie? – spytał, patrząc wprost w pozbawione wyrazu oczy ropuchy. Na samą myśl o jej polizaniu żołądek chłopca zaciskał się w ciasny supeł.

Benowi zdarzało się już odrobinę przesadzać. Jakiś tydzień wcześniej na jednej z leśnych drózek natrafił na świeże truchło szopa ze zmiażdżoną czaszką – pamiątką po bliskim spotkaniu z kołem jakiegoś przejeżdżającego auta. Zmusił Nicka, by ten zanurzył dłoń w jeszcze cieplej, krwistej brei będącej kiedyś futrzastym łebkiem nieszczęsnego zwierzęcia.

Zrobił to. Mało brakowało, by się wtedy rozplakał, a mimo to nawet nie przeszło mu przez myśl, że mógłby się sprzeciwić.

Wszyscy przecież słuchali się Bena. Zawsze.

Poza tym nie miał tu innych przyjaciół.

– Oczywiście. – Ben przysunął płuza jeszcze bliżej. Nick odskoczył w tył, wzdrygając się z obrzydzenia. To było dla niego zbyt wiele.

– Nie, stary – odpowiedział. – Nie zrobię tego.

Słowa wydostały się z jego ust w sposób dziwny i nienaturalny, jakby próbował porozumieć się w nieznanym mu wcześniej, obcym języku.

– Nie? – W głosie Bena zabrzmiała ostrzegawcza nuta. Ropuchę trzymał w wyciągniętych rękach, niczym odrzucony prezent.

– Nie.

– Trzymajcie go.

Chwilę potem Nick szarpał się bezskutecznie przytrzymywany przez Stana oraz Phila. Dave stał z boku, milczący i skonfundowany. Ta zabawa podobała mu się coraz mniej.

– Liź.

Oczy Bena pociemniały zauważalnie. Przypominały teraz wnętrza dwóch studni albo skąpanych w mroku zawilgoconych piwnic. Jego twarz na ułamek sekundy wykrzywił zwierzęcy grymas. Cała była upstrzona drobnymi plamami cienia rzucanego przez liście drgające na gałęziach i przez ten krótki moment wyglądała, jakby przyjęła inny kształt.

Czy może raczej... bezkształt.

– Wczoraj ojciec znów spuścił mi wpierdol – wyszeptał ochryple.

Nick błyskawicznie skojarzył fakty.

Na krótko przed zakończeniem roku szkolnego nie pozwolił Benowi ściągać od siebie na teście z matematyki. Ben był ich najlepszym przyjacielem, ich przywódcą i autorytetem, co nie zmieniało faktu, że jednocześnie – kolejnym niespecjalnie byстрыm dzieciakiem nieradzącym sobie z działaniami na ułamkach. Nick nie zachował się tak dlatego, że chciał – po prostu bał się ewentualnych konsekwencji, gdyby obaj zostali przyłapani. Rodzice wściekliby się, jeśli oblałby ostatni i najważniejszy sprawdzian tuż przed rozdaniem świadectw.

Pan Wallen na pewno się zdenerwował. Świadczyły o tym siniaki na plecach, które chłopcy przypadkiem zauważyli, gdy kiedyś Ben spadł z roweru, a w czasie krótkiego lotu na ziemię jego koszulka podjechała odrobinę do góry.

Nick postanowił wtedy poruszyć ten temat, lecz jego przeprosiny skwitowane zostały gorzkim śmiechem.

– Daj spokój. Ojciec zawsze znajdzie jakiś powód – usłyszał wtedy.

W tym momencie sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej. Ponadto znajdowali się w środku lasu i choć jego dom był oddalony zaledwie o kilometr, Nick zbyt mocno nie liczył, że ktoś usłyszy jego krzyk i przybiegnie na pomoc. Po swojej stronie miał więc tylko przestraszonego czterolatka – pozostali na pewno się nie sprzeciwią. Nie Benowi.

Szarpnął rękoma na próbę. Poczuł, jak Phil i Stan zaciskają mocniej dłonie na jego przedramionach pokrytych cienką warstwą potu, i lodowaty kolec strachu przeszył jego wnętrzności.

„Chował w sobie urazę przez cały ten czas, a teraz chce się mścić”, zrozumiał. „Chce mnie upokorzyć. Najpierw ten szop, teraz ropucha... Wolę nie wiedzieć, co jeszcze przyjdzie mu do głowy”.

Nick szybko doszedł do wniosku, że polizanie obrzydliwego płaza, a następnie ucieczka i znalezienie nowych przyjaciół to jedyne sensowne wyjście. Co prawda, nawet jeśli uda mu się unikać całej trójki przez resztę wakacji, to spotkają się ponownie we wrześniu, jednak na przejmowanie się tym przyjdzie jeszcze odpowiednia pora.

– Dobrze. Zrobię to – wysapał zrezygnowany.

Skóra ropuchy była nieprzyjemnie szorstka, gruzłowata i zaskakująco sucha. Wnętrznościami Nicka natychmiast wstrząsnął gwałtowny skurcz, a gardło zacisnęło się nieprzyjemnie, by powstrzymać zawartość żołądka przepychającą się w górę przełyku niczym brudny, mokry szczur przeciskający się rurami. Ben w ostatniej chwili odskoczył i uniknął jasnobrunatnego strumienia wymiocin, który trysnął z ust chłopca.

Nick, wciąż przytrzymywany przez zanoszących się śmiechem Stana i Phila, zwiesił głowę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w kleistą plamę rzygowin upstrzoną niestrawionymi fragmentami czekoladowych batoników, którymi objadał się po obiedzie. Na języku wciąż czuł paskudnie gorzki posmak płaza. Wypuszczone z ręki zestresowane zwierzę usiłowało zagrzebać się w stercie suchych liści, by przeczekać powstałe zamieszanie, jednak Ben zdążył chwycić je znowu.

Dave przez cały ten czas stał cicho z boku, drżąc na całym ciele i powstrzymując łzy. Rozumiał, że ci źli chłopcy robią krzywdę jego bratu, rozumiał też, że jest za mały i zbyt przerażony, by mu pomóc. Mógł tylko bezsilnie obserwować cały ten koszmar i mieć nadzieję, że jak najszybciej dobiegnie on końca.

Ben spojrzał na niego. Oczami czarnymi niczym dwie bryłki węgla.

– Twoja kolej, Młody – powiedział. Nick wcale nie chciał zabierać go ze sobą.

*Wrócimy wieczorem. Zaopiekuj się nim do tej pory.*

Nie chodziło o to, że nie lubił zajmować się Dave'em, wręcz przeciwnie – maluch



zachowywał się grzecznie, jak na czterolatka, rzadko bywał irytujący, nie mazał się bez powodu i nie skarżył. Nick wątpił jednak, czy przyjaciele zaakceptują jego obecność i pozwolą dołączyć do zabawy. Mimo wszystko zabrał go ze sobą. Surowy ton matki nie pozostawiał wątpliwości – albo to zrobi, albo spędzą słoneczne popołudnie, nudząc się w domu.

*Tylko bez żadnych głupich pomysłów. Musisz być odpowiedzialnym starszym bratem.*

– Nie! – wrzasnął Nick. – Odwalcie się od niego!

Strach i złość wezbrały w nim jak fala przyływu. Szarpnął całym ciałem, uwolnił unieruchomione ręce i, wkładając w to całą swoją siłę, pchnął Bena prosto w pierś. Chłopak z impetem upadł na ziemię, boleśnie objając sobie pośladki oraz dolną część pleców pokryte jeszcze niezagojonymi siniakami. Ropucha natychmiast skorzystała z okazji i zniknęła gdzieś w ściółce.

Ben zadarł głowę i spojrzał na niego, zszokowany i zawstydzony. Jego oczy przybrały znów zwyczajny, ciemnobrązowy kolor, a na skrajach powiek załśniły łzy upokorzenia. Pierwszy raz w życiu ktoś ośmielił się mu sprzeciwić. Mało tego, pierwszy raz ktoś – poza ojcem – podniósł na niego rękę.

*Uważaj na niego, proszę cię.*

– Idziemy, Młody – oświadczył Nick zimnym tonem. – Nic tu po nas.

Odwracał się, mierząc Stana i Phila pogardliwym wzrokiem. Obaj zastygli w idealnym bezruchu, z otwartymi szeroko ustami.

Zbliżył się do brata i delikatnie szturchnął w plecy, by ten poszedł przodem.

– Już dobrze – szepnął uspokajająco.

– Załatwiłeś go – odparł Dave. Obrócił głowę, posyłając krótkie, lecz pełne szczerego podziwu spojrzenie.

Obaj odetchnęli z ulgą, gdy skierowali się w stronę domu.

– Tak! Idź stąd! – usłyszeli po chwili. – Idź! Wypierdalaj!

Wszystko później potoczyło się błyskawicznie.

Kamień wielkości pięści pojawił się znikąd. Rozległo się stłumione chrupnięcie, a zaraz po nim wysoki, przenikliwy pisk Dave'a. Urwał się nagle, gdy pod chłopcem ugięły się kolana i runął wprost na twarz. Plama czerwieni wykwitowała powoli na jego potylicy, sklejjąc ze sobą kosmyki blond włosów.

*Odpowiedzialnym starszym bratem.*

– Dave! – wykrzyknął Nick, klękając nad nieruchomym ciałem brata. – Dave!

Spojrzał za siebie. Ben nadal trzymał podniesioną po rzucie rękę.

– Wstawaj, słyszysz?!

Szarpnięciem obrócił go na plecy. Gdy próbował na siłę unieść przymknięte powieki, ujrzał jak oczy Dave'a wywracają się, zaglądając w głąb rozbitej czaszki, zupełnie jakby chciały obejrzyć powstałą przed chwilą ranę.

– On się nie rusza! – wrzasnął łamiącym się, pełnym nienawiści głosem.

*Tylko bez żadnych głupich pomysłów.*

Odwrócił się ponownie. Jego byli już przyjaciele sprawiali wrażenie jeszcze bardziej przerażonych. Stan zerwał się do biegu i nie oglądał za siebie. Poszarpane spodnie Phila pociemniały w kroku, a gorące lipcowe powietrze wypełniła ostra woń uryny.

Ben opuścił wreszcie rękę. Skóra jego twarzy stała się biała niczym kość, tak, że oczy znów sprawiały wrażenie czarnych i bezdennych. Strwożona mina chłopca mówiła wszystko – ten kamień przeznaczony był dla Nicka. Nie miał trafić w głowę, a już na pewno nie małego Dave'a. Miał sprawić tylko trochę bólu, może nabić sporego siniaka, ale nic poza tym.

Liście pod głową czterolatka nasiąkały czerwienią.

*Zaopiekuj się nim.*

– Wezwijcie pomoc! – krzyknął Nick. – Zróbcie coś! Cokolwiek!

Łzy nagle przesłoniły mu widok. Minęła chwila, nim zorientował się, że Ben wraz z Philem również rzucili się do ucieczki i zostawili go zdanego wyłącznie na siebie. Zaszlochał ze strachu oraz bezsilności.

Z nosa Dave'a zaczęła sączyć się przezroczysta wydzielina, oblepiając nieruchome wargi.

*Uważaj na niego.*

Zarzucił bezwładne ciało brata na ramiona niczym strażak wnoszący ofiarę pożaru z płonącego budynku. Zachwiał się lekko, jednak zaraz odzyskał równowagę i pewnym krokiem ruszył w stronę domu.

Kapiące tu i ówdzie krople krwi znaczyły drogę.

\*\*\*

Nickowi zakręciło się w głowie. Chciał ostrożnie położyć Dave'a na trawniku przed domem, lecz zamiast tego zrzucił go na ziemię jak worek kości. Po chwili opadł na

kolana i, podpierając się drżącymi rękoma, ponownie zwymiotował – tym razem tylko odrobiną żółci. Zaniósł się kaszlem. Jego płuca płonęły przenikliwym bólem, jakby nawdychał się dymu.

Minęło kilka minut, zanim wreszcie udało mu się wstać. Oddychał ciężko przez usta, a strumienie lepkich smarków zatykające nos spływały aż na podbródek.

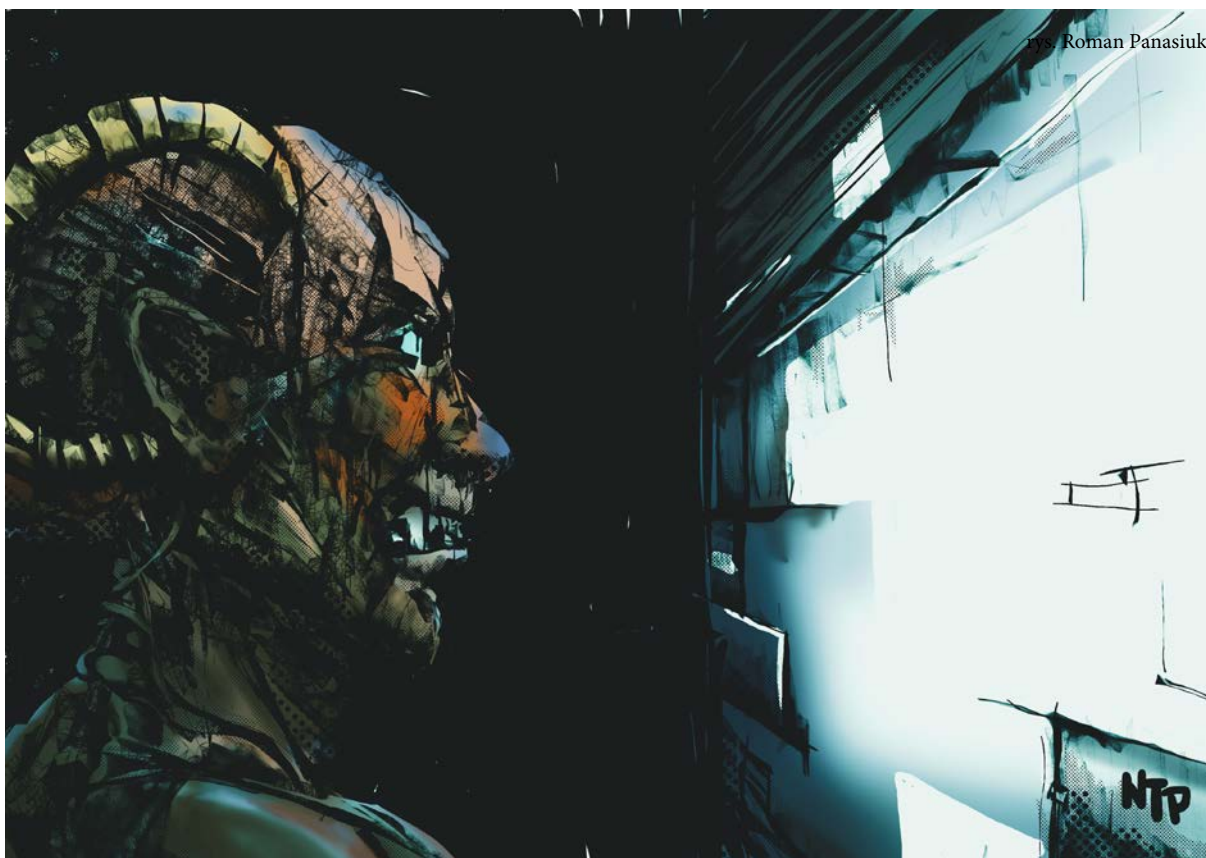
Auto rodziców stało zaparkowane na podjeździe.

Nacisnął klamkę i wszedł do domu, potykając się o próg. Świat zaczął tracić ostrość, szybko rozlał się w wielką niewyraźną plamę. Kolory blakły, zmieniając się w szarości. Usłyszał zaniepokojone kroki matki. Nie czuł, jak łapie go, by uchronić przed upadkiem, jak obejmuje swymi ciepłymi, delikatnymi ramionami. Kurczowo chwycił się jej szyi, jak tonący chwytą się samotnej skały otoczonej przewalającymi się falami.

Tonął. Tonął w szarości przechodzącej powoli w czerń.

– Gdzie Dave? – spytała.

– Przepraszam – wybełkotał, dławiąc się łzami. – Tylko się bawiliśmy.



rys. Roman Panasiuk

# ROZMOWA ZE STRZYGĄ

Aneta Pazdan

Ryzykowałem własne zdrowie, życie, a może jeszcze więcej, aby potwierdzić i zdobyć te informacje, cenne z punktu widzenia demonologii. Aby to uczynić, udałem się do ponurego, tonącego w mroku zamku gdzieś na obrzeżach miasta. Tutaj i w okolicznym lesie widywano straszliwego, ale jednocześnie zrozpaczonego potwora, który zabijał i szwendał się bez celu, jęcząc i wyjąc z udręki, samotności, może nawet z żalu.

Pozwolę sobie zauważyć, że spotkałem wcześniej tego potwora, ale nie miałem okazji zamienić z nim ani słowa. Było to w lesie, gdzie wiatr i owa bestia zapraszały mnie do upiornego tańca śmierci. Uciekłem, gdy tylko usłyszałem to osobliwe zawodzenie. Złakłem się, ale właśnie wtedy rozgorzało we mnie pragnienie porozmawiania z monstrem,

wyjaśnienia dręczących mnie wątpliwości i podjęcia próby poznania tego, co do tej pory było niepoznane.

Przygotowałem się. Zabrałem papier, kałamarz, zapas atramentu, pióro oraz bezdomnego kota złapanego po drodze. Podarowałem go potworowi, prosząc w zamian o chwilę rozmowy.

Nie spodziewałem się, że zgodzi się od razu, ale zrobił to i właśnie dlatego siedzimy teraz naprzeciwko siebie. Umarł jako młody mężczyzna, chociaż przypuszczam, że wygląda inaczej niż w chwili śmierci. Jest wysoki, postawny i dobrze zbudowany. Jednakże jego szczeka wydaje się nienaturalnie szeroka i kryje w sobie zaostrome, wystające zęby; jego przekrwione oczy pałają żądzą mordy, a palce zakończone są szponami.

Miałem nadzieję, że skonsumuje podarunek gdzieś na uboczu, lecz zrobił to w mojej obecności, przy tym samym stole, przy którym teraz siedzimy. Przygwoździł zwierzę szponami, aby się nie wyrwało, i wbił zęby w korpus. Spodziewałem się, że będzie pożerać mięso jak drapieżnik, ale tylko zastygł w bezruchu i po chwili zaczął przełykać rozpuszczone wnętrzności, aż z kota została jedynie pusta, sucha skorupa.

Truchło leży teraz pomiędzy nami, tuż obok kałamarza, w którym raz po raz zanurzam pióro. To przerażające, ale nie śmiem poprosić go, aby usunął trupa.

– Opowiedz mi, jak wyglądało twoje życie. Gdzie się urodziłeś, co robiłeś, gdzie mieszkałeś?

Ma niski, gardłowy głos. Bardzo zmysłowy i niepokojący.

– Urodziłem się tutaj, w zamku, w górnej komnacie. W chwili porodu matka wydała z siebie ostatni oddech i zostawiła mnie – odpowiada spokojnie. – Było to blisko dwieście lat temu, wtedy, gdy palono czarownice na stosie, a każde zdeformowane dziecko topiono w rzece. Mój ojciec musiał sporo się natrudzić, abym uszedł z życiem. Oddał mnie pod opiekę wiejskiej dziewczuchy, która miała już jedno zdeformowane dziecko. Mówiono, że dziecko jej brata.

– Na płaszczu wciąż masz rodowy herb. Dlaczego, skoro wychowywała cię wiejska rodzina?

Ubrany jest w długi do ziemi, przybrudzony czarny płaszcz w rodzaju peleryny, którego niezapięte poły powiewają lekko na wietrze. Widać po nim szlacheckie pochodzenie. Siedzi prosto, nogi ma złączone, stopy równo postawione na podłodze, ręce oparte na kolanach. Pelerynę odrzucił lekkim, majestatycznym ruchem za siebie i teraz spoczywa ona na oparciu krzesła. Herb, przyszyty na lewym ramieniu, jest już prawie niewidoczny.

– Ukradłem płaszcz, kiedy mój ojciec zmarł. Myślałem, że będzie to dobra pamiątka, ale okazało się, że nie ma dla mnie żadnej wartości. Próbowałem usunąć herb, ale nie udało mi się, więc się poddałem. To i tak nie ma znaczenia. Gdy jeszcze żyłem, byłem ostatnim z mojego rodu. Śmierć upomniała się o mnie i oszedłem, a wraz ze mną moje nazwisko. Pozornie wciąż żyję, ale nie jestem już tym, kim byłem.

– Co było dalej, gdy już wysłano cię na wieś? – Zmuszam się, aby mu przerwać, choć serce bije mi jak szalone.

– Staralem się przetrwać. Ciężko pracowałem i nie miałem nic w zamian. Życie strasznie mnie męczyło. Ludzie źle mnie traktowali. Dzieci sąsiadów szybko zauważyły, że z moją twarzą coś jest nie tak. Rozwarły mi szczękę i odkryły podwójny szereg zębów. Stałem się dziwadłem. A później wieśniaczka, moja przybrana matka, zauważyła, że nieważne czy przyłoży rękę po prawej, czy po lewej stronie klatki piersiowej, tak samo mocno czuje bicie serca. Przeraziła się. To był początek końca.

– Masz podwójny szereg zębów i dwa serca? Czy więcej?

Nie odpowiada. Zamiast tego otwiera usta i pokazuje mi swoje zęby. Rzeczywiście, w tyle szczęki zauważam drugi szereg kłów pokrytych zaschłą posoką kota, około połowę mniejszych od pierwszego.

– Miałem dwa serca, ale w tym momencie bije tylko jedno. Drugie umarło wraz ze śmiercią mojego ciała. Tuż po narodzinach miałem też dwie dusze, ale jedna z nich również odeszła w chwili śmierci. Gdybym żył, byłbym prawie zwyczajny.

– Co zrobiła twoja matka, gdy odkryła, że masz dwa serca?

– Tego było już za wiele. Podwójna liczba zębów to anomalia, ale dwa serca to coś, czego normalny człowiek nie jest w stanie zaakceptować. Wszak serce jest ośrodkiem uczuć. Nie chciała jednak skazywać mnie na śmierć. Była prostą, ale dobrą kobietą. Oddała mnie pod opiekę Boga. Zamieszkałem w klasztorze.

– Czy mieszkanie w świętym miejscu było dla ciebie problemem?

– Czym jest świętość? Dlaczego jeden kawałek ziemi jest święty, inny potępiony, a jeszcze inny zwyczajny?

– Nie wiem. Nie jestem religijny. Wierzę w naukę.

– Nauka to inny rodzaj religii i podobne bluźnierstwo. Bóg mnichów nie był moim Bogiem. Nie wierzyłem w niego, ale nie miałem problemu z mieszkaniem w miejscu, które służyło do oddawania mu czci. Kiedy zmuszali mnie do modlitwy, było to podobne do mówienia do kwiatu albo drzewa. Bezsensowne, kompletnie bez znaczenia, ale nie przykre.

Zastanawiam się, czy powinienem się z nim spierać, bronić nauki i moich przekonań. Uznaję, że to byłoby za duże ryzyko. Nie uzyskałem jeszcze wszystkich potrzebnych informacji.

– Co się stało w klasztorze? Przypuszczam, że nie tam dożyłeś swoich chwil.

– Bynajmniej. Dożyłem. Miałem szesnaście lat, kiedy zauważono moje nadzwyczajne cechy fizyczne. Mnisi. Okrutni ludzie, którzy służyli Bogu każącym im nienawidzić inności. Nie miałem problemu z ich religią, ale oni mieli problem z moją. Zawsze ta sama historia. Wszystko poszło szybko. Samosąd, skazanie na biczowanie i powieszenie. Niektórzy chcieli mnie ukrzyżować. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że podzielę los biednych kobiet oskarżonych o czary, ale palenie na stosie jest o wiele trudniejsze do ukrycia niż powieszenie w odmętach klasztoru. Zawsze ta sama historia – powtarza. – Pełna bólu i śmierci.

Zaiste, cierpi, gdy opowiada o swojej śmierci. Widzę to w jego postawie, oczach, drzeniu rąk. Patrzy nieobecny spojrzeniem gdzieś daleko za mnie, w przeszłość. Wygląda prawie ludzko, ale nie mogę dać się zwieść. Jest potworem. Boję się go. Nie tylko ze względu na to, kim jest. Ma w sobie coś niepokojącego. Za życia musiał budzić podobne uczucia.

Jego krótkie rude włosy lśnią w świetle świec niczym bardzo słabe, ledwo widoczne płomienie. Jego oczy także błyszczą. Czy widzę w nich łzy? Nie, to niemożliwe. Bestie nie płaczą, bestie nie czują. Patrzę na jego skąpaną w mroku, bardzo bladą twarz. Chcę widzieć w niej tylko obojętność, ale nie potrafię się dłużej oszukiwać.

– Dlaczego wolałeś zostać spalony? To straszna śmierć.

– Dla istoty mojego pokroju chwila bólu to nic w porównaniu z wiecznym błakaniem się bez celu. Aby nie odrodzić się po śmierci, musiałem zostać spalony albo pochowany z odciętą głową między nogami. Aby mnie unieruchomić, należałoby przybić me ciało gwoździami do dna trumny, ale przyznasz, że to niezwykle okrutny sposób.

– Czyli nie chciałeś się odrodzić jako potwór? – pytam, chociaż znam odpowiedź. Wydaje się ona jednak nieprawdopodobna.

W chwili wypowiedzenia tych słów uświadamiam sobie, co najlepszego narobiłem. Nazwałem go wprost „potworem”! To niebezpieczne, ale też straszliwie nietaktowne. Łapię się na tym, że czuję nie strach, a wstyd i żal.

– Ja narodziłem się jako potwór – odpowiada spokojnie. Nie wydaje się urażony. – Od zawsze nim byłem. Ale miałem w sobie także ludzką cząstkę. Mogłem przez jakiś czas pozostać człowiekiem, kiedy jeszcze żyłem. Gdy mnisi mnie powiesili, zatrzymali jedno z moich serc i zabili jedną duszę. Tę ludzką. Ale nie byli w stanie zabić mnie całkowicie,

dlatego teraz ja muszę mordować. I nie podoba mi się to. Nie chcę być zły, ale oczywiście nie mam już wyboru – wyjaśnia powoli.

– Czujesz się teraz niepełny? Przez to, że brak ci jednej duszy?

– Czuję się wolny. Tamta dusza tylko mnie krępowała. Była niepotrzebna, zbyt ludzka, zbyt tkliwa i histeryczna. Teraz liczy się tylko instynkt, nie mam już żadnych zahamowań.

Walczę z przemożną chęcią, aby podać mu jedwabną chusteczkę, którą zawsze noszę przy sobie. Delikatną, koronkową pamiątkę po ukochanej, która umarła, zanim zdążyła zostać mą żoną. Wciąż wydaje mi się, że bestia siedząca naprzeciwko mnie płacze! Ale robi to na tyle niepostrzeżenie i majestatycznie, że nie śmiem zapytać, czy nie potrzebuje przerwy. Tylko lśniące oczy go zdradzają. Jest teraz jakby w innym świecie, bardziej okrutnym, ale nieprawdopodobnie realnym.

– Czym zajmowałeś się przez dwieście lat?

Podnosi się nieznacznie na krześle, rzuca mi długie, przenikliwe spojrzenie. Zastanawia się, czy może mi zaufać? Może już znudziła go rozmowa i pragnie tylko wbić kły w mój korpus i wyssać wnętrzności wraz z krwią? Jest już późno, a on zjadł zaledwie jednego kota.

– A więc nie wiadomo ci, co robią bestie, kiedy nadejdzie ich czas? – pyta poważnie, choć przez moment mam wrażenie, że chce się zaśmiać. – Zabijałem, to oczywiste. Na początku skupiłem się na zemście. Zamordowałem każdego mnicha, który przyczynił się do mojej śmierci, choć z żalem muszę zauważyć, że prowodyr całego zamieszania zdążył umrzeć śmiercią naturalną. Tak mnie to zdenerwowało, że podpaliłem klasztor. Wyssałem wnętrzności dzieci, które zmusiły mnie do ukazania podwójnego szeregu zębów, i wieśniaków, którzy potem mnie szykanowali. Ach, co to była za wspaniała ucztą! Przyprawione zemstą mięso smakuje wspaniale!

– Rodziców też zamordowałeś? – pytam z lękiem.

– Przybranych czy prawdziwych? Zresztą to nie ma znaczenia. Nie zabiłem ani ojca, ani przybranej matki. Nie byłem w stanie, choć teraz nie mogę sobie przypomnieć dlaczego. Dziś być może bym ich zabił. Ale wtedy koncentrowałem się na zemście, a oni nie zasługiwali na to, aby się na nich mścić. Być może i tak zostali potępieni po śmierci, ale nie mnie to oceniać. Niestety, popełniłem błąd.

– Błąd? Masz na myśli zamordowanie ich wszystkich?

– Nie, to było właściwe. Ale nie powinienem robić tego tak szybko. Zatraciłem się w zemście, która była wspaniała, i gdy dokonałem dzieła, poczułem się wypalony.



Staram się zapisywać każde jego słowo. Co chwilę muszę maczać pióro w atramencie i przy okazji rozchlapuję czarny płyn na stół. W świetle świec wygląda jak krew. Bestia patrzy łapczywym wzrokiem na plamy. Zaczynam pojmować, że znalazłem się w wielkim niebezpieczeństwie.

– Rozumiem. Co było później?

– Zabijałem dla krwi i mięsa. Zabijałem, aby przetrwać. Musiałem zdobywać pożywienie. Latałem jako sowa po lesie, bo potrafię zamienić się w to zwierzę, i szukałem ofiary. Nie patrzyłem na płeć, wiek, po prostu wyczuwałem krew, atakowałem, wbijałem kły w ciało, rozpuszczałem wnętrzności i wysysałem je wraz z krwią, dopóki nie leżało przede mną puste, jałowe ciało.

Szczegółowość tego opisu przeraża mnie. Po co mi to wszystko mówi? Aby uzmysłwić mi, co się stanie za kilka godzin?

– Byłbyś w stanie żywić się zwierzętami?

– Przez jakiś czas chyba tak. – Zastanawia się chwilę. – Nie próbowałem nigdy tego robić. Człowiek to najpożywniejszy pokarm.

Notuję jego słowa tak szybko, że wydaje się, jakby moje pióro mogło się zaraz zapalić. *Płonące pióro*, wzdrygam się na tę myśl. Pewna symbolika nigdy nie przestanie niepokoić.

– Przez wiele lat przemieszczałem się z miejsca na miejsce, mieszkałem w jaskiniach, lasach, przypadkowych chatkach. Potem postanowiłem osiąść gdzieś na stałe. Wróciłem na zamek. Zrozumiałem, że muszę zacząć się pilnować, jeżeli chcę przetrwać. Przestałem zostawiać ciała w widocznych miejscach i co jakiś czas wyruszam na polowanie do innych miast. Żyję tak do teraz.

Co dalej? Koniec historii? Nie, to niewystarczająco. Zostało jeszcze trochę nocy. Mam niemiłe wrażenie, że nie dożyję poranku, dlatego muszę wykorzystać czas, który mi pozostał.

– Wróćmy więc do czasów, gdy jeszcze żyłeś. Jak objawiało się istnienie twojej drugiej duszy? Wspomniałeś, że była bardziej ludzka i wstrzymywała cię. Przyznam, że nie do końca to rozumiem.

– Miałeś kiedyś dylemat? Zastanawiałeś się, co powinieneś uczynić? Kłóciłeś się z samym sobą? To samo działo się ze mną. Tylko na okrągło, bez przerwy, prawie do utraty zmysłów. Nieraz wariowałem, gdy te dwie osobowości ścierały się we mnie do tego stopnia, że nie byłem w stanie normalnie funkcjonować. Nie potrafiłem zdecydować, która jest mi bliższa. Nie faworyzowałem żadnej, ale to było wykańczające. Niekiedy sugerowały mi rzeczy tak odmienne, że miałem ochotę wyskoczyć oknem!

– Podaj jakiś przykład – proszę go, starając się zachować należyłą uprzejmość.

– A czy to nie jest oczywiste? – Jest zniecierpliwiony. – Miałem kiedyś szansę zabicia jednego z dzieci, które mnie wyśmiewało. Jeszcze wtedy nie wiedziało, że jestem potworem, byłem po prostu biednym, cichym bękartem, którego trzeba kopać i opluwać. Miałem ochotę chwycić kamień i go zatłuc, ale ludzka dusza sprzeciwiała się. Różnica zdań była tak duża, że zacząłem rzucać się i wyć. Wtedy dzieciak zauważył moje zęby i potem zmusił mnie do ukazania ich swoim kolegom. Resztę historii już znasz. Oczywiście, potem i tak go zamordowałem.

Oblizuje wargi, jakby samo wspomnienie dziecka posiadającego ciało, jelita, żołądek, serce, mózg, a przede wszystkim krew, sprawiało, że odczuwa głód. Wzdrygam się na samą myśl o tym, że siedzę naprzeciwko bestii żadnej ludzkiej ofiary, ale powstrzymuję strach. Skoro dotarłem już tak daleko, nie mogę się wycofać. Nie pozwalają mi na to duma i ciekawość.

Bestia uśmiecha się gorzko.

– Gdy patrzę teraz na drzewo, widzę drzewo. Kojarzy mi się ono z niezliczoną liczbą osób, które powiesiły się na jego gałęziach. Ale gdy jeszcze żyłem, nie wiedziałem, czy, patrząc na drzewo, widzę miejsce kaźni, czy może cud natury. Nie potrafiłem oddzielić od siebie tych skojarzeń. Patrzyłem i zastanawiałem się, co właściwie widzę. I nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie.

– A więc miałeś nie tylko różne odczucia, ale także skojarzenia i... wspomnienia?

– I tak, i nie. W pewnym sensie masz rację. To po prostu wiązało się z różnymi osobowościami, które we mnie tkwiły. Miałem dwie dusze, tak, jakby zamknięto we mnie dwie osoby. Bestię i zwyczajnego człowieka. I podczas gdy zwyczajny człowiek stopniowo uczył się życia i poddawał wychowaniu, bestia była ukierunkowana od samego początku na zabijanie i tego nie dało się zmienić. Podejrzewam, że byłoby mi w życiu łatwiej, gdyby wychowano mnie na złego człowieka. Niestety, próbowano nauczyć mnie bycia dobrym.

Mam wrażenie, że chciałby wstać i odejść. Jest wyraźnie zniecierpliwiony. Nie ma już ochoty tłumaczyć mi zawiłości związanych z jego podwójną duszą. Jednakże jest zbyt honorowy, aby zrezygnować. Obiecał mi rozmowę i zamierza dotrzymać słowa. Dlatego krzywi się, ale nie wstaje. Poprawia płaszcz, prawdopodobnie najcenniejszą rzecz, jaką posiada, i czeka na pytanie.

Myślę, że powinienem go uprzedzić i samemu wstać i odejść. Zaczynam rozumieć, że nie wyjdę z tego żywy. Ale ja również jestem honorowy. Obiecałem, że go wysłucham.

– Czy tak działo się cały czas? Każda rzecz budziła podwójne skojarzenia i myśli?

– Nie do końca. Czasami jedna z dusz osuwała się w cień. Myślę, że miało to trochę związku z moim nastrojem i nastawieniem. Gdy wbrew wszystkiemu starałem się być szczęśliwy, dusza bestii traciła na jakiś czas kontrolę. Ale gdy coś mnie wzburzyło, wracała ze zdwojoną siłą.

– Czyli, podsumowując, raz byłeś człowiekiem, innym razem bestią, a jeszcze innym te dwie osobowości kłóciły się wewnątrz ciebie? – Potwierdza. – Zrobiłeś kiedyś coś, czego później żałowałeś? Czy bestia wygrywała z dobrym człowiekiem, czy częściej działo się na odwrót?

Chwilę się zastanawia, jakby próbował sobie przypomnieć, jak było w rzeczywistości.

– To trudne pytanie – odpowiada w końcu. – Wydaje mi się, że dusza ludzka zawsze była we mnie silniejsza dlatego, że bestia czekała w ciemności na swoją kolej. Wiadomo było, że prędzej czy później potwór otrzyma swoją szansę, dlatego nie wychylał się zbyt. Tylko raz zrobiłem coś, czego później bardzo żałowałem. Zamordowałem. Niewinną osobę. Nie będę opowiadał szczegółów, ale to bardzo bolało. Zastanawiałem się wtedy, co mnie opętało. To bestia doszła do głosu. Często miałem także złe myśli. Pragnąłem kogoś zamordować, ale powstrzymywałem się. Tylko ten jeden raz...

– Wydaje ci się, że mógłbyś z tym walczyć także teraz?

– A pozostało jeszcze coś, na czym mógłbym się oprzeć? Nie mam już dobrej duszy. Dobro odeszło i pozostała tylko bestia, dlatego nie sądzę, abym kiedykolwiek mógł przeciwstawić się głodowi, żądzy mordy i zła, które we mnie tkwią.

– A jednak wydajesz się żałować morderstw... Wyglądasz na przygnębionego.

Śmieje się głośno. Jego śmiech roznosi się po całej komnacie, otacza mnie aksamitną barwą, wywołuje nieznośny efekt echa, które wzbudza w moim sercu ból. Nie słyszę w tych dźwiękach rozbawienia. Jedynie gorycz i ironię. Bestia nie śmieje się dlatego, że opowiedziałem dobry żart, ale po to, by zatuszować niezręczność mej wypowiedzi.

Naprawdę wygląda to tak, jakby żałował! Ale postanawiam, że nie będę już wyrażać na głos tej nieprawdopodobnej opinii. Muszę się mylić. Nie ma innej możliwości.

– Żałuję swojego utraconego życia – odpowiada spokojnie. – Żałuję tego, że za każdym razem, gdy wbijam kły w człowieka i wyzeram jego wnętrzości, ulga jest krótka i bardzo, bardzo ulotna. Uczucie przyjemności szybko mija, a potem pozostaje świadomość, że nigdy się od tego nie uwolnię. Nigdy już nie dostanę szansy, aby ktoś zabił mnie w odpowiedni sposób. Jestem zmęczony. Ale to nie ma nic wspólnego z żalem za osobami, które musiałem zamordować. Ludzie są dla mnie pokarmem, znaczyli coś dla mnie tylko wtedy, gdy miałem dwie dusze.

– Naprawdę chciałbyś umrzeć? – pytam z niedowierzaniem.

– Marzę o tym. Mam dość. Nie chcę się dłużej błąkać. To dziwne, bo gdy jeszcze żyłem, sądziłem, że zależy mi tylko na tym, aby dojść do głosu. Przebić ludzką duszę i przejąć kontrolę nad ciałem. Ale chyba nic nie trwa wiecznie. Zmęczyło mnie to.

– Mógłbym odnaleźć twoje ciało i...

Śmieje się, tym razem wyraźnie rozbawiony. Dźwięki brzmią upiornie. Chciałbym zatkać uszy, aby nie musieć ich słyszeć, ale nie jestem w stanie się poruszyć.

– Myślisz, że jestem duchem? Moje ciało masz przed sobą. Codziennie powstaje z grobu i codziennie błąkam się po zamku, a w ciągu dnia kładę się na spoczynek. I jeśli myślisz, że pozwolę ci się zabić, to mylisz się. Nie pozwolę. Dawno minęły czasy, kiedy wierzyłem, że ktoś może mnie uratować.

– Nie rozumiem. Powiedziałeś, że chciałbyś umrzeć.

– Chciałbym. Ale na to jest już za późno. Umarłem, nie pamiętasz? Zrobiono mi tym straszliwą krzywdę. Odpowiednia śmierć jest możliwa tylko w chwili, gdy ciało wciąż żyje. Gdybyś spalił mnie teraz, skazałbyś mnie na potępienie. Muszę czekać na ratunek. To może zdarzyć się jutro, a może nie nastąpić przez tysiąc lat. Czekam, aż narodzi się strzyga, która podaruje mi wolność, pozwoli pójść do Nawii i spotkać się z Welesem.

– Jak wygląda Nawia? To wasz odpowiednik Piekła?

– Dla ludzi Nawia jest piekłem, dla potworów miejscem, do którego odchodzą po śmierci. Jak wygląda... Czy to takie ważne? A ty wiesz, jak wygląda twoje Piekło? Nie ma jednego wyobrażenia. Nawia jest krainą otoczoną rzeką. Albo ogromnym pastwiskiem. Albo jest położona pod ziemią. Naprawdę, nie wiem tego. Nie zastanawiam się nad tym, czego nie mogę osiągnąć. Moja misja się nie skończyła, choć nie wiem, na czym polega.

Bestia patrzy w kierunku okna. Podążam za jej spojrzeniem. Oboje przeczuwamy, że zbliża się dzień. Za jakąś godzinę słońce powinno wzejść i swoim blaskiem dodać ludziom nadziei, ale ja nie wiem, czy będę jeszcze wtedy żywy.

Nasza rozmowa dobiega końca. Pragnę ją kontynuować, ale i tak wiem, że dowiedziałem się sporo. Chciałbym wrócić tutaj jutro, w następne noce także, lecz nie mogę niecierpliwie bestii. Tak naprawdę cały czas boję się go jak szalony, dlatego milczę i czekam na jego reakcję, czekam na jego znak, czy mnie zabije, czy puści wolno.

W pewnym sensie pogodziłem się już z tym, że stanę się pożywieniem dla bestii. Nie mam na to wpływu. Boję się, ale strach mnie nie paraliżuje. Zaczynam zastanawiać się, jak dostarczyć moje zapiski odpowiednim osobom.

– Za niedługo muszę udać się na spoczynek. – Bestia spogląda na mnie niespokojnie.  
– Wciąż nie nasyciłem się tak, jak powinienem. Jestem głodny i nie mam wiele czasu.

Pozostaję dziwnie spokojny, choć serce bije mi jak szalone.

– A więc mnie zabijesz? – pytam drżącym głosem.

– Dam ci wybór. W ciągu pół godziny z sąsiedniej wioski dostarczysz mi jedną osobę, która stanie się moją ofiarą. Wtedy cię oszczędzę. W innym razie to ty skończysz jako mój posiłek.

Zastanawiam się chwilę nad ofertą potwora. Nie widzę powodu, aby mu nie wierzyć. Zależy mu na posiłku, więc jeśli mu go zapewnię, puści mnie wolno. Nie jestem pewien, czy będę w stanie zdecydować się na tak straszny krok. Chciałbym oszczędzić swoje życie, ale jak miałbym wskazać osobę, która zginie zamiast mnie? Jak wybrać przypadkowego mieszkańca wsi?

Gdybym znał tych ludzi, wszystko byłoby łatwiejsze. Mógłbym wskazać męża bijącego żonę albo matkę dręczącą swoje dzieci. Ale nie mam pojęcia, kim są ci nieszczęśni ludzie. A myśl, że wybrałbymjedyne go żywiciela rodziny albo wspaniałego rodzica, albo jakąkolwiek inną dobrą osobę, jest przerażająca.

Nie byłbym w stanie aż tak bardzo zabawić się w Boga. Dlatego milczę jeszcze chwilę, a potem odpowiadam drżącym głosem, czując, że oblewa mnie zimny pot, a ręce trzęsą się jak w gorączce.

– Nie dam rady. Zabij mnie. Tylko szybko. Żeby... Żeby nie bolało. I zadbaj o moje notatki. Daj je komuś. Żeby nie przepadły...

Potwór wstaje i dosłownie sekundę później znajduje się tuż za mną. Oplata me ciało ramionami, zaciska dłoń na szyi, szponami drugiej ręki przejeżdża po policzku. Przyklada głowę do szyi i wsłuchuje się w przepływającą krew. Kulę się trwożliwie i czekam, aż przesyje mnie szponami na wylot.

Niespodziewanie bestia wypuszcza mnie z objęć i cofa się.

Odwracam się. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Mam przed sobą istotę, która już dawno przestała być człowiekiem. Dlaczego odpuściła? Czy chce na mnie zapolować, aby mieć więcej zabawy? Szukam w jego uśmiechu śladów okrucieństwa, ale widzę tylko smutek.

– Skłamałem, kiedy mówiłem ci, że nie zostały już we mnie żadne uczucia – tłumaczy z goryczą. – Człowiecza dusza zostawiła we mnie znamię, którego nie jestem w stanie zmazać ani zagłuszyć. Być może jest już za późno na zbawienie... Na pewno jest. Ale zanim trafię do Nawii, chciałbym czasem zrobić coś dobrego.

– Od początku nie chciałeś mnie zabić?

– Na początku miałem taki zamiar. Kiedy przyszedłeś z tym śmiesznym kotem jako ofiarą. Ale jest w tobie coś interesującego. Naprawdę chciałeś poznać moją historię. I współczułeś mi. Dlatego poddałem cię próbie. Gdybyś zdecydował się iść do wioski, zginąłbyś. Nie zrobiłeś tego, więc jesteś wolny. Zdarza mi się zabijać niewinnych, ale nie dziś. Nie teraz. Droga wolna. Uciekaj, zanim zmienię zdanie!

Nie myśląc zbyt wiele, wybiegam z komnaty i kieruję się w stronę wyjścia z zamku. Walczę z chęcią odwrócenia się i spojrzenia raz jeszcze na istotę, którą przez cały czas nazywałem „bestią”, a która zachowała w sobie jeszcze resztki człowieczeństwa. Mimo że jej przeznaczeniem od początku było trafienie do piekła. Jego lub chrześcijańskiego. Któregokolwiek.

W porę przypominam sobie, że nie zabrałem notatek. Mam ochotę zostawić je w zamku na wieczność, ale to jednak moja spuścizna. Z ogromnym lękiem wracam, ale nie zastaję już strzygi. Na stole leży sterta papieru, porozrzucane, gęsto zapisane kartki. Zbieram je wszystkie i uciekam.

Przyciskając do piersi mój skarb, biegnę przez las, wsłuchując się w pohukiwanie sowy, która towarzyszy mi przez całą drogę.

Dopiero w domu, w bezpiecznym miejscu, przypominam sobie słowa bestii. „Potrafię zamieniać się w sowę”... Więc to on. Wzdrygam się i wyglądam przez okno. Widzę pierwsze promienie słońca, które zamiast dodać mi odwagi i nadziei, budzą we mnie lęk. Cały drzę. Strzyga wie, gdzie mieszkam. I prędzej czy później do mnie przybędzie. Nie śledziłaby mnie, gdyby nie miała zamiaru tego zrobić.

Czy powinienem się przeprowadzić? A może będzie to tylko dowód na powtórne niesprawiedliwe ocenienie tej niezwyklej istoty?

Zaczynam odczuwać niezdrową fascynację jego postacią. Wiem, że nigdy go nie zapomnę. Nigdy nie przestanę wierzyć, że któregoś dnia to on przybędzie do mnie, aby opowiedzieć mi więcej o swoim życiu.

Nigdy stąd nie odejdę. Zawsze będę czekał.



UBRANIA I DODATKI DLA FANÓW GROZY

 SPOOKYSTUFFSHOP





# SKARB

Paulina Ciupak

Maciek zachowywał się tego dnia inaczej. Nudziła go każda zabawa i nie można było przykuć jego uwagi na dłużej niż kilka chwil. Przez pewien czas krążył koło Przemka, lecz wkrótce, mamrocząc pod nosem, zniknął pomiędzy wiatrakami, zostawiając brata samego.

Przed Przemkiem rozciągało się ogromne pole porośnięte dziką trawą. W jej objęciach stały wiatraki wytwarzające prąd. Tuż obok rósł mały lasek, ale nie dbał o niego żaden leśniczy, więc natura dawno przejęła tam władzę. Wiatraki były naprawdę ogromne i bardzo głośne. Chłopcy lubili bawić się w ich pobliżu, bo wyglądały niczym kosmici, wielkie, wysokie i niepokonane. Teraz, gdy zachodziło słońce, tkwiły tutaj, w jego pomarańczowej poświacie, gdzieniegdzie okryte cieniem. Starszy brat przesunął palcami po gładkiej powierzchni jednego z nich. Popatrzył w górę. Naprawdę wydawały się potworami.

– Maciek! – zawołał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Ściemniało się. Jeśli mieli wrócić przed zmrokiem, to musieli wyruszyć teraz.

– Maciek! – krzyknął, przykładając dłonie do ust.



Cisza. Szedł przed siebie, rozglądając się. Odruchowo włożył ręce do kieszeni, zanim przypomniał sobie, że przecież nie wziął komórki. Wciąż leżała na komodzie w ich pokoju, podłączona do ładowarki. To nie było zbyt mądre, biorąc pod uwagę, jak bardzo matka przestrzegała, by mieć z nimi stały kontakt. Jeśli chcieli uniknąć jej gniewu i nie sprawić jej przykrości, lepiej, aby wrócili na czas.

– MACIEK! TO NIE JEST ŚMIESZNE! – krzyknął. Przeszły go ciarki po plecach. Nie podobały mu się dziwne cienie majaczące w oddali, a szum wydawany przez wiatraki przyprawiał go o gęsią skórkę. Obserwował linię lasu. Drzewa i kryjące się pomiędzy nimi krzewy wydawały się żywe, szepczące między sobą.

Zaraz też usłyszał wołanie.

– Przemo! Chodź tu! Chodź, zobacz coś!

Zerwał się wiatr. Chłopiec spojrział w niebo i zauważył ciemne, wzburzone chmury. Jazda na rowerze podczas burzy nie była chyba dobrym pomysłem. Przyspieszył, zmierzając w stronę, z której słyszał Maćka.

Zza budowli wyjrzała twarz młodszego brata, zaczerwieniona z wysiłku, z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami. Machnął zachęcająco ręką.

– Chodź tutaj!

– Maciek, burza! – Przemek wskazał niebo.

Ten podążył wzrokiem za jego palcem, ale czarne chmury nie zrobiły na nim wrażenia.

– Tylko na chwilkę! Chodź!

Czyżby to było to? Maciek zwykle słuchał się brata, chyba że znajdował coś, co naprawdę go zainteresowało. Wtedy nic go nie ruszało, dopóki nie dopiął swego. Tak było już chyba od zawsze. Przemek podążył za nim. *Pewnie znowu znalazł jakieś zdechłe zwierzę, pomyślał. Wydawało mi się, że mu przeszło, ale może się myliłem.*

Zaczęło się to w zeszłe lato, gdy rodzice wysłali ich na obóz. Tam Maciek zaczął fascynować się śmiercią. Przypalał muszki, kroił żaby, przecinał dżdżownice na pół, wszystko po to, aby zobaczyć, jak ulatuje z nich życie. Gdy zobaczył leżącego na drodze zdechłego psa lub kota, siedział przy nim w kuckach i przyglądał mu się, dopóki nie odciągnęło się go niemal siłą. Zawsze też starał się coś zabrać. To chyba było najbardziej przerażające. Zachowywał się jak jakiś chory kolekcjoner, w szufladzie szafki nocnej przetrzymując sparciałe obrożę, oderwane kocie wąsy, pudełeczko ze strzępami skóry pozostawionej przez węża. Wakacje się skończyły, oni wrócili do domu i do pewnego stopnia pasja Maćka poszła w zapomnienie, a pudełko ze zdobyczami na dno szafy. Czyżby miało się to zacząć od nowa?

Przemek skręcił za wiatrak. Wysoko w górze znajdowały się wielkie, ciężkie skrzydła

poruszające się nieustannie. *Gdyby potrafiły mnie osiągnąć, nie miałbym wystarczająco siły, aby oprzeć się takiej sile*, pomyślał. Sam dźwięk był ogłuszający.

– Maciek!

Widział go. Siedział tak jak kiedyś, w kuckach, z – jak przypuszczał – rozanielonym uśmiechem na ustach. Odwrócony plecami, zasłaniał znalezisko. To była wielka, głęboka na kilkadziesiąt centymetrów dziura. Maciek kuczał na jej krawędzi, grzebiąc małą, plastikową łopatką w ziemi, z której coś prześwitywało.

– Co to jest? – zapytał Przemek. To coś, przysypane ziemią, trudno było zidentyfikować. Jedyne, co można stwierdzić, to to, że ma czerwony kolor.

– Bawiliśmy się tu tydzień temu, pamiętasz? – powiedział Maciek, nie przestając rozgarniać świeżej ziemi, która utknęła mu pod paznokciami. – Wtedy, kiedy się pokłóciliśmy i schowałem tutaj, zauważyłem ziemię, rozkopaną. Pomyślałem, że ktoś zakopał tu skarb. Nie śmiej się! – rzucił gniewnie. – Nie chciałem ci mówić, dopóki go nie odkopię. – Odwrócił się na chwilę i obdarzył brata spojrzeniem błękitnych oczu. Łopatką dotknął czerwieni. – Widzisz! Nie uwierzyłybyś mi, a teraz patrz!

Jednak czerwony fragment wcale nie wprawił Przemka w zachwyt. Podeszedł bliżej i spojrzał w dół. Przemógł chwilowe zawahanie i sięgnął po niego ręką. Był to skrawek materiału, być może bluzki, może spodni. Źle mu się skojarzyło. Ich mama uwielbiała czerwony kolor.

– Maciek, zostaw to – powiedział zduszonym głosem. Rozejrzał się dookoła, ale przecież nikogo nie było. Usłyszał ciche grzmienie dochodzące z daleka. Wiatr potrząsnął koronami drzew w lasku.

Tylko że Maciek nie słuchał. Nadal z entuzjazmem rozrzucał czarne grudki, a czerwień powiększała się coraz bardziej.

– To skarb, Przemo. – Oczy świeciły mu się jak nigdy. – Znalazłem skarb. Zobaczysz... Zobaczysz...

Sztywna łopatka coraz bardziej się zagłębiała, aż w końcu, łądując pod materiałem, podniosła go odrobinę do góry. Mignął różowy fragment skóry. Przemek zastygł w bezruchu, czując, że każdy jego mięsień jest napięty. Stał tam, przyglądając się nowo odkrywanemu znalezisku, niezdolny tego przerwać. Powoli wyłaniała się reszta ciała, ręce oraz nogi. Tylko jeszcze stopy i twarz przykrywała czarna masa.

Brat chwycił Maćka i odciągnął od skarbu. Był przerażony. Przez chwilę wpatrywał się jeszcze w zmatowiałą skórę z oznakami rozkładu, po czym odwrócił wzrok.

– To nie jest żaden skarb, idioto – powiedział.

Pierwszy raz w życiu widział martwego człowieka. Co miał zrobić? Przybliżył się ostrożnie do ciała, gdy pojawił się zapach. Zatkanął nos. Kusilo go, aby to zostawić, po prostu odwrócić się i odejść, udając, że nigdy tego nie widzieli. Tylko co, jeśli to był ktoś, kogo znali? Jeszcze raz obejrzał się za siebie, odruchowo, bo mordercy nie mogło tutaj być. Tak przynajmniej myślał. Spojrzał jeszcze raz na trupa. Wyobraził sobie larwy rządzące domek w jego oczach i ustach. Ohyda.

Przyjrzał się dokładniej. Zauważył wypielegnowaną dłoń, której nadgarstek był zmasakrowany. Pochylił się nad nim, nie mając jednak odwagi chociażby strzepnąć reszty ziemi. Wyglądało to na ślad po więzach. A także coś jeszcze. Szyję zdobiły siniaki, zupełnie jakby ją duszono.

Myślał przez chwilę, co zrobić. Mały patrzył na niego błagalnymi oczyma, z nadzieją, że da mu przyzwolenie. Przyzwolenie na odkopanie ciała do końca, wyciągnięcie je z ziemi i Bóg wie, co jeszcze. Widział ten dziwny, znajomy błysk w oczach brata, który każdego przyprawiłby o dreszcze. Nie mógł się na to zgodzić. Najchętniej odwróciłby się i odszedł, pozostawiając trupa w ziemi, gdzie było jego miejsce.

Mogli po prostu wrócić do domu i powiedzieć rodzicom, co znaleźli. Tylko że... coś przykuło jego uwagę. Usłyszał dziwny dźwięk. Spojrzał w stronę lasu i poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

Wydawało mu się, że ktoś tam jest. Pomiędzy drzewami czaił się jakiś cień. Przemek nie był w stanie powiedzieć, czy to jego wyobraźnia, czy nie. Odszedł kilka kroków od ciała, wyciągając wzrok. Nagle przestał czuć się bezpieczny na tym ogromnym pustkowiu, gdzie było ich widać jak na dłoni. Jeszcze chwilę poobserwował linię lasu, jednak cień nie poruszył się. Bojąc się, że jeśli choć na chwilę straci czujność, coś im się stanie, niemal krzyknął do brata:

– Maciek, wynośmy się stąd!

Mały posłusznie zaczął się podnosić, jednak Przemek nadal nie mógł się przemóc. Ukryta twarz ofiary nie dawała mu spokoju. Nie mógł znieść myśli, że pod powłoką ziemi może znajdować się twarz kogoś znajomego. Przyglądał się ciału i choć drżał ze strachu, nie mógł się zmusić, aby odwrócić się i odejść. W końcu pochylił się i szybkim gestem odgarnął czarną masę. Brązowe oczy, okolone długimi rzęsami. Usta zastygnięte w pośmiertnym grymasie.

To była twarz pani Marii Skuczewskiej. Prezenterki telewizyjnej. Znajomej ich mamy, mieszkającej kilka ulic stąd.

Grzmot przerwał ciszę. Zawiał silny wiatr, niosąc powiew świeżego powietrza. Nie

mogli tu dłużej zostać.

– Musimy wracać – rzekł Przemek.

Mały nie odzywał się. Oderwał wzrok od martwej kobiety i spojrzał na niebo, obserwował je i kurczył się coraz bardziej w sobie, zdając się jeszcze mniejszy niż zazwyczaj. Przebiegli odcinek dzielący ich od rowerów i wsiedli na nie, pedałuując zawzięcie. Może uda im się zdążyć przed deszczem.

\*\*\*

– Gdzie wy byliście, co?! – Mama wpuściła ich do domu, całych przemoczonych i zziębniętych. – Skaranie boskie z tymi dziećmi! Mówiłam, że macie nosić telefony, po co je kupiłam, co?!

Mama, z brązowymi włosami spiętymi w kok i w czerwonej bluzce, stała na progu kuchni, przyglądając im się z dezaprobatą. Ściągnęli buty i pobiegli się przebrać w suche ubrania.

– Macie tu być za dwie minuty! – krzyknęła jeszcze za nimi, wbiegającymi po schodach.

Sama usiadła przy stole, wypła łyk kawy i wróciła do przerwane go projektu. Nie mogła się jednak skupić, cały czas zerkając znad ekranu laptopa i wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające z góry.

\*\*\*

Musiał to wszystko przemyśleć. Pani Maria...? Jej twarz cały czas tkwiła mu w pamięci, równając się z tą roześmianą, jaką pamiętał za życia. Przynajmniej raz w miesiącu wpadała do ich mamy na kawę. Zawsze wtedy też witała się z nimi, mierzwiąc im włosy i dopytując o oceny w szkole. Nie miała własnych dzieci, więc traktowała ich z większą miłością, niż można by się spodziewać. Przemek wiedział, co musi zrobić. Powiedzieć rodzicom, a potem policji. Zajmą się tym. Znajdą tego, kto to zrobił. Na pewno.

Odwrócił się w stronę Maćka. Ten zdjął z siebie mokrą koszulkę, nadal był jednak w spodenkach. Z ich kieszeni coś wyciągnął i szybko zacisnął w pięść. Wcisnął to pod poduszkę swojego łóżka.

– Co to jest?

Przemek wyciągnął po to dłoń mimo protestów brata i po chwili spomiędzy jego palców

zwisał srebrny naszyjnik. Zawieszka składała się z małej srebrnej róży z delikatnymi płatkami, umieszczonej na długim, mocnym łańcuszku.

– Skąd to masz? – zapytał drżącym głosem.

– Wziąłem...

– Maciek!

Przemek zawrzał z gniewu. Chwyił młodszego brata za ramiona i potrząsnął nim.

– Co ty sobie myślałeś? To może być dowód zbrodni! Teraz policja nam nie będzie chciała uwierzyć! Będą nas podejrzewać! Nas i naszą mamę!

– Nie wiedziałem...

– Jasne, że nie! Ty tylko chciałeś wziąć coś na pamiątkę – powiedział szyderczym tonem. Zaraz jednak się ocknął, gdy zauważył w oczach brata łzy, ale nie były to łzy smutku. Mały rozżościł się tak, że duże krople zaczęły spływać mu po policzkach.

– Gdybyś tylko się nie obejrzał... schowałbym to dla siebie i nigdy byś się o tym nie dowiedział. Dlaczego musiałeś spojrzeć? Dlaczego? – Zacisnął dłonie w pięści.

– Słuchaj, to nie jest bezpiecznie, mieć to przy sobie. Nie możesz tego zatrzymać, rozumiesz?

– Dlaczego, dlaczego... Oddaj mi!

– Maciek!

Powstrzymał ręce brata, próbujące zacisnąć się na zdobyczy. Siłowali się tak przez kilka dobrych chwil, aż w końcu Maciek, popchnięty przez Przemka, upadł na ziemię. Wtedy odezwał się w nim błagalny ton:

– Proszę... Zrobię, co mi powiesz. Nie będę nic mówił... albo powiem wszystko. Tylko pozwól mi to zatrzymać.

– To należało do pani Marii.

Te słowa zdawały się przeciąć powietrze i trafić w końcu do małego. Zwiesił głowę i przestał prosić. Przemek schował naszyjnik do kieszeni.

– Nic nie mówmy – odezwał się. Przez materiał spodni czuł, jak wisiołek pali go żywym ogniem. – Nic nie mówmy, dopóki nie odniesiemy tego z powrotem. Dobrze?

\*\*\*

Chłopcy zbiegli na dół. Przed oczami cały czas mieli trupa wystającego z ziemi, widzieli go tak wyraźnie, jakby towarzyszył im przez całą drogę.

– I co ja mam z wami zrobić? – zastanawiała się matka na głos. – Co? – zwróciła się do

nich.

Coś tam mruknęli pod nosem, chwytając się za burczące z głodu brzuchy. Kobieta westchnęła i po chwili wyciągnęła dwa głębokie talerze, aby nalać im zupy.

– No przecież nie rozkażę wam pójść spać bez kolacji – stwierdziła.

Patrzyła, jak jedzą łączywie, opierając łokcie na stole.

– Jutro z rana przyjeżdża do nas wujek Roman, a później mamy iść na chrzciny Krzysia – powiedziała. – Musimy wam jeszcze kupić białe koszule, chociaż po dzisiejszym najchętniej zamknęłabym was na klucz w pokoju...

Spojrzeni po sobie, po czym spuścili głowy, z całych sił zasznurowując usta, aby nie palnąć czegoś głupiego pod wpływem palącego wzroku matki.

\*\*\*

– Leje dziś od rana – stwierdził Przemek.

Obudził go deszcz. Starszy brat wyglądał przez jakiś czas przez okno, a później dołączył do niego Maciek, ale pogoda nie zmieniła się pod wpływem ich spojrzeń. Na niebie nie ukazała się tęcza, a słońce nie usunęło wszechobecnej wilgoci. Przemek próbował wyrzucić to ze swojej głowy, jednak cały czas towarzyszyła mu myśl, że deszcz może bardzo łatwo wyrządzić szkody ciału odkopanemu z ziemi.

\*\*\*

To już czwarty dzień, który trwali w oczekiwaniu. Noce Przemek spędzał bezsennie, wspominając znalezisko, tworząc do niego scenariusze, wyobrażając sobie mordercę. Obraz martwej kobiety mocno wrył mu się w pamięć, tak że zamykając oczy, widział jej twarz.

Nie mógł jednak wrócić. Mama nie puściłaby ich w taką pogodę. Czuł, jak z każdą spadającą kroplą deszczu maleją ich szanse. Szanse, aby odnieść naszyjnik i bez żadnych podejrzeń pójść z tym na policję. To zmartwienie także nie dawało mu spać w nocy. A kolejne wydarzenia tylko potęgowały jego niepokój.

Był wieczór. Oglądał z mamą i tatą wieczorne wiadomości. Czasami tak robił, gdy nudził się tak bardzo, że nie był w stanie pozbyć się tego uczucia w zwykły sposób. W tej chwili Maciek był na górze i brał kąpiel, więc nie miał nawet komu podokuczać.

Pani prezenterka przywitała ich z chłodnym profesjonalizmem. Nie było jej do śmiechu, bo mówiła o sprawie zaginięcia i to nie byle kogo. Zdjęcie kobiety pojawiło się obok niej.

– ... pani Marii Skuczewskiej. Obecnie przesłuchuje się świadków, wszczęto też odpowiednie śledztwo. – Pojawił się krótki filmik, na którym bliscy zaginionej mówili, jak bardzo wszystkim jej brakuje.

Przemek poczuł ogromną ochotę, aby powiedzieć rodzicom wszystko i pozbyć się w końcu tego ciężaru. Już zaczął otwierać usta, nabrał w płuca powietrza, już na jego języku kształtowały się odpowiednie słowa, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Mama przycisnęła go bardziej do siebie.

– To straszne – powiedziała, ściskając go, jakby bała się, że on też za chwilę zaginie. Poglaskała go po głowie.

Spojrzała w ciemność, od której oddzielała ich jedynie cienka szyba. Gdzieś w niej mógł się czaić porywacz. Po chwili rzuciła szybkie spojrzenie na zamek w drzwiach wejściowych, ale był przecież zamknięty. Oczywiście. Tak samo jak zawsze.

– Jeśli ktokolwiek z państwa miał kontakt z panią Marią lub widział ją po czasie zaginięcia, proszony jest o kontakt z policją.

\*\*\*

Właśnie po tym wydarzeniu Przemek zaczął wierzyć w sny. Trup stał się realny, jeszcze prawdziwszy niż za pierwszym razem. A wraz z nim ożył morderca. Przemek wiele razy wracał do tamtego miejsca, zawsze śniło mu się to samo. Zawsze krążył nad grobem, zaglądając w jego otchłań, aby przekonać się, że ciało było martwą presterką. Słyszał dziwne odgłosy, wiedział, że w lesie za nim czai się coś dziwnego, coś, co chce go dopaść i odzyskać to, co zabrał trupowi. Widział i bał się, ale we śnie nigdy nie oglądał się za siebie. Tam zawsze spoglądał w dół i to, co widział, przerażało go jeszcze bardziej. W dole zamiast Marii Skuczewskiej leżała jego mama. Ze związanymi włosami i w czerwonej sukience. Zawsze wtedy zaczynał krzyczeć, a ona otwierała oczy. I budził się.

Tak było co noc. Koszmary dręczyły go, a on coraz częściej wracał myślą do naszyjnika schowanego głęboko przed wzrokiem innych. Chciał go wyrzucić, ale w głębi duszy był pewien, że gdy tylko to zrobi, jego sen stanie się prawdą. Ta myśl była dla niego tak szczerze prawdziwa, a sny tak rzeczywiste, że powoli zaczął im wierzyć. Zaczął się obawiać o swoich bliskich. Jego oczy, zwykle dumne i zaciekawione, pełne pewności siebie, powoli stawały się lękliwe i przerażone. Aż do pewnego ranka, gdy obudził się, a za oknem zobaczył słońce i rozwiewające się chmury.

Ustalił z bratem, że to ich szansa, aby tam wrócić i oddać skarb. Musiał go oddać. Bał

się, że gdy znajdą się na tym polu, to coś z lasu, co było w jego śnie, wyskoczy na nich, ale nie miał wyjścia. Musiał oddać naszyjnik tam, gdzie było jego miejsce.

Po prostu musiał to zrobić, w nadziei, że wszystko się skończy.

\*\*\*

– Nie ma mowy! – stwierdziła ich matka. – I zamierzacie mi zniknąć tak jak ostatnim razem? Niedoczekanie wasze. Siedzicie w domu.

– Ale mammo....

– Nie ma żadnego ale.

– Mammo, prosimy.

– Mówię, że nie.

– Weźmiemy telefon, teraz na pewno. Wrócimy niedługo. – Maciek pociągnął ją za rękaw od bluzy. – Mammo, zgódź się... Proszę. Możemy dzwonić co pół godziny.

Westchnęła. Nie podobało jej się miejsce, w którym lubili bawić się chłopcy. Puste pole, gdzie nikt nie zachodził.

Jednak chodzili za nią od samego rana. W końcu, nie mogąc wytrzymać ich narzekań, zaczęła się przełamywać. Nie wychodzili z domu przez ponad tydzień, bo cały czas padało. Teraz w końcu się przejaśniło. W ciągu ostatnich dni jej niepokój odrobinę zelżał, pamięć o porywaczu zatarła się. No i miała do ukończenia ważny projekt, na którym nie mogła się skupić z nimi mamroczącymi jej za uchem.

O drugiej po południu chłopcy wyjechali.

\*\*\*

Ziemia była wilgotna i łatwo zapadały się w nią buty. Tym razem zostawili rowery bliżej wiatraka. Z daleka mogli zauważyć, że coś jest nie tak. Tam, gdzie powinno być ciało, był tylko czarny, głęboki dół. Stanęli, aby zadzwonić do mamy. Po upewnieniu jej, że wszystko jest w porządku, zaczęli zbliżać się w stronę wiatraka.

Przez chwilę Przemek poczuł się, jakby wrócił do świata ze swoich koszmarów. Przez chwilę powietrze było ciężkie, a pomiędzy splątanymi gałęziami lasu czaił się cień. Przewiercał go swoim spojrzeniem, gotowy do rzucenia się na niego, gdy tylko zrobi choć krok dalej.

Jednak w jednej chwili wszystko się rozwiało. Przemek otrząsnął się, pozbył się z siebie



resztek złego snu i zobaczył, że miejsce wygląda po prostu tak jak zawsze. Choć nie przyszło im to łatwo, powoli przybliżyli się do głębokiego dołu. Przemek nie spuszczał z oczu lasu, lecz wszystko wydawało się być w porządku. Choć znajdowali się w tym miejscu, wszystko wyglądało inaczej niż we śnie. I przede wszystkim w dole nie leżało ciało ich matki.

Tylko że nie wszystko było w porządku. W dole nie było żadnego ciała. Nachylili się nad czarną dziurą, ale nic nie leżało na jej dnie. Boki były nierówne, jakby ktoś dosłownie przed chwilą je rozkopał. W poszukiwaniu czegoś. Przemek mocniej zacisnął dłoń, w której trzymał naszyjnik. Chciał oddać trupowi to, co należało do niego, ale teraz nie było żadnego trupa.

– Nie ma go? – zastanowił się Maciek. Oddalił się od śliskiego, zdradliwego brzegu i odwrócił w stronę lasu. Przemek kucnął i dalej zaglądał do środka, nie mogąc uwierzyć, że przyjechali tu na darmo. *Kto mógł zabrać ciało?*

– Przemo, tam coś jest – rzekł mały, wskazując na linię drzew niedaleko od nich. Starszy brat przestał nachylać się nad dołem i popatrzył w kierunku, który tamten mu wskazywał. Na początku nie widział niczego, ale im dłużej się przyglądał, tym wyraźniejsze stawały się poszczególne kształty. Zauważył, że faktycznie na ziemi, niedokładnie ukryte pośród krzaków i dzikiej trawy, coś leży. Czy to była... łopata?

– Boję się – powiedział Maciek.

No tak. Ta kobieta była martwa, nie mogła sama wydostać się z grobu. Nie mogła wstać i pójść sobie na spacer. A to miejsce znali tylko oni.

Oraz morderca.

– Przemo... Pójdę zobaczyć...

– Nie ruszaj się – syknął.

Młodszy brat nie posłuchał. Zaczął iść w stronę lasu, lecz zanim Przemek zdołał go zatrzymać, coś chwyciło go za szyję. I uniosło w powietrze.

Poczuł, jak czyjeś ramię blokuje mu przepływ powietrza, zanim jednak zdołał chociażby pisnąć, usłyszał:

– Cicho, bo urwę mu ryja. – I zobaczył drugą rękę z bronią wymierzoną w Maćka. – Gdzie to masz? – Przemek poczuł jego kwaśny oddech przy uchu.

– Co?

– Kurwa, wiesz, o co chodzi, szczyłu. Gdzie naszyjnik?

Chłopiec czuł, jakby za chwilę miał zwymiotować swoje własne serce, które stanęło mu w gardle. Już chciał wyciągnąć przed siebie dłoń z naszyjnikiem, ale nagle poczuł paniczny lęk, że gdy tylko to zrobi, facet zabije Maćka. Że gdy dostanie to, czego chce, zabije ich obu.

Ten lęk był tak przeraźliwy, tak prawdziwy, że Przemek mocniej ścisnął dłoń i rzekł:

– Nie mam go.

– Jak to, kurwa, nie masz? Nie pierdol mi tu. Oddawaj, gówniarzu, co nie twoje.

Ręka mocniej zacisnęła się na jego gardle. Maciek niczego jeszcze nie zauważył, nadal szedł w stronę lasu. Lecz w każdej chwili mógł się obrócić i spojrzeć za siebie, aby zobaczyć mordercę celującego w niego. Co zrobi zabójca? To oczywiste – wystrzeli.

Przemek musiał coś szybko wymyślić. Bardzo szybko, lecz nie mógł się skupić. Myśli uciekały mu, a sny znowu do niego powróciły, poczuł, jakby z lasu miało na jego młodszego brata wyskoczyć coś okropnego, gorszego od mordercy, bo nie z tego świata.

*Skup się, bo będzie po nas, pomyślał.*

Poczuł, że zaczyna się krztusić. Odruchowo chwycił rękami za przyduszające go ramię.

– Nie mam go – wykrztusił – bo wrzuciłem go do dołu.

– Co, kurwa?

– Chciałem oddać... a że nie było ciała... ugh.... to wrzuciłem do dołu... i...

– To skacz po niego.

Uścisk na szyi zniknął. Zamiast niego pojawiły się ręce, które chwyciły go i pociągnęły w tył. Z wielką siłą rzuciły nim w pustą przestrzeń. Zanim jeszcze uderzył o dno, wiedział już, że Maciek się odwrócił. Bo usłyszał krzyk.

A potem strzał.

On również krzyknął i próbował wstać. Bolał go cały lewy bok, na który upadł, ale ziemia po deszczu była miękka, więc nie stała mu się wielka krzywda. Po dłuższej chwili zdołał się zerwać na nogi i zacząć wspinać. Ale ściany były zbyt strome, a ziemia rozjeżdżała się pod stopami. Krzyk zabrzmiał jeszcze raz, ale uciszył go kolejny wystrzał. Oczy Przemka szeroko się rozwarły, ale ciało nie przestało się wspinać ani na chwilę. Krzyczał i wspinał się, ale po chwili coś wylądowało na jego twarzy. Czarna masa z impetem oderwała go od ściany i zrzuciła raz jeszcze. Chłopiec, lecąc, zamknął oczy, a teraz, gdy leżał i był już w stanie oddychać, bał się je otworzyć. Masa przygniotła go, a jego dłonie, które automatycznie się na niej zacisnęły, wyczuwały, że nadal jest ciepła. Nie czuł jednak, aby się ruszała. Nie słyszał jej oddechu ani nie czuł poruszającej się klatki piersiowej. Dlatego właśnie kamień spadł mu z serca. *To nie Maciek, to tylko ziemia. Lub cokolwiek innego, pomyślał i otworzył oczy.*

Pierwszym, co napotkał jego wzrok, były niebieskie, martwe tęczęwki i twarz zastygnięta w paskudnym grymasie, który pewnie będzie miał każdy, gdy nastąpi chwila, w której poczuje, że umiera. Ciało brata wygięte było pod dziwnym kątem. Z kilku otworów wylewała się krew, mieszając się z błotem. Usta miał otwarte, jakby nadal gotowe do wołania

o pomoc.

Przemek zrzucił z siebie ciało Maćka i odczołgał się od niego, byle jak najszybciej się stąd wydostać. Byle opuścić tę norę, tę czarną dziurę, ten grób.... W jednej dłoni nadal ścisnął naszyjnik. Ścisnął go niczym swoje ostatnie koło ratunkowe, jakby to on miał zapewnić mu bezpieczeństwo.

Cały czas krzyczał, aż zabrakło mu powietrza w płucach. Dopiero wtedy, gdy zapadła cisza, mógł usłyszeć śmiech mężczyzny stojącego nad brzegiem dołu.

– Fajna zabawa?

Przemek poczuł, że coś ścisną go w środku, tak mocno, że miał ochotę zgiąć się wpół. Ale nie przestawał się wspinać ani na chwilę.

– I co, kurwa, znalazłeś go? Masz go, szczyłu?

Chłopiec bał się go, bardzo bał się mordercy, ale jeszcze bardziej bał się tego dołu. Wydawało mu się, że strome ściany go pożerają, że jeśli się nie pośpieszy, zostanie tutaj na zawsze, dołączy do swojego martwego brata.

Mężczyzna kucnął i wyciągnął rękę w stronę chłopaka, gdy ten był już blisko.

– Oddaj – powiedział tonem, jakim zwraca się właściciel do nieposłusznego psa, który trzyma w zębach przeżuty but.

Przemek wyciągnął przed siebie dłoń i otworzył ją. Zabójca szybkim ruchem zgarnął swój skarb. Pochuchał na naszyjnik i wytarł go o koszulę, po czym schował do kieszeni.

– Phi, gdybym go nie miał, byłbym daleko w dupie. – Zaśmiał się, po czym popatrzył na chłopca, któremu łzy zaczęły lecieć po twarzy.

– Po co ci to? – zapytał Przemek, pierwsze pytanie, które przyszło mu do głowy. Kurczowo trzymał się ściany, szukając wyjścia, którym mógłby się wydostać.

Morderca spojrział w dół.

– Co za uparty bachor – zacmokał i kopnął go w twarz.

Przemek poleciał jeszcze raz. Poczuł krew, która zaczęła zalewać mu usta oraz spuchnięty nos, zapchany gęstą, czerwoną cieczą. Upadek był boleśniejszy, na chwilę wycisnął mu z płuc całe powietrze. Bolała go każda część ciała i choć bardzo tego pragnął, nie mógł ustać na własnych nogach. Zakręciło mu się w głowie.

Mężczyzna na górze wyprostował grzbiet. Wsadził skręta do ust i miał zamiar go zapalić, ale gdy zobaczył, jak chłopiec próbuje wstać, rzekł:

– Kurwa w dupę mać, nie mam na to czasu.

Wyciągnął broń, wymierzył i pociągnął za spust. Jednak nie było strzału. Pociągnął raz jeszcze, ale magazynek zdawał się pusty. Zaklął po raz kolejny i zniknął z pola widzenia.

Przemek słyszał oddalające się kroki, wykorzystał tę chwilę, aby podczołgać się ostrożnie do krawędzi. Zanim jednak zdążył się wspiąć choć odrobinę, poleciał na niego grad ziemi. Przemek spojrzał w górę i następna partia spadła mu na twarz, ale zaraz ją starł. Po niej poleciała kolejna, tym razem większa. Ciało Przemka zdrętwiało ze strachu. Ziemia trafiała mu na twarz, na włosy, za ubrania. I było jej coraz więcej. Chłopiec, nie hamując już ciekących strumieniem łez, chwycił się na oślep, ześlizgiwał, znowu wspinał. A ziemi było coraz więcej.

W końcu lawina posypała się na niego, a całe podłoże uciekło spod stóp. Ziemia dostała się do oczu i ust. Była ciężka i przygniotła mu nogi. Dopiero teraz, nie wiedząc czemu, Przemek przypomniał sobie o komórce, którą przecież miał ze sobą. Zgrabiętymi dłońmi wyciągnął ją i kliknął ostatnie połączenie, podpisane *mama*. Ziemia stała się nieustającym strumieniem, wodospadem, który zalewał go od nóg, po biodra, po piersi, po szyję... Słyszał sygnał.

– Proszę, proszę, proszę, mamó, mamó, mamó – szeptał pod nosem.

W końcu nastąpiła ciemność, zabrakło powietrza, a z każdą sekundą ruch stawał się coraz cięższy.

– Halo? Przemek? Coś się stało?

Nareszcie usłyszał głos mamy i mógłby przysiąc, że był to najbardziej kojący dźwięk na świecie. Jednak nie był już w stanie odpowiedzieć. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, tylko one same zapełniły się ziemią.

\*\*\*

– Wiadomości z ostatniej chwili. Znalezione ciało Marii Skuczewskiej oraz jej mordercę. Okazał się nim Wiktor K., który był jej pierwszym mężem. Znalezione go, gdy próbował pozbyć się ciała zmarłej. Na szyi ofiary widoczne były ślady po uduszeniu, a oskarżony w chwili przesłuchiwania miał przy sobie naszyjnik, który, jak wykazano, był narzędziem zbrodni. Wiktor K. w tej chwili znajduje się w areszcie i czeka na postawienie w stan oskarżenia przed sądem. – Na kilka chwil ukazał się reportaż oraz rozmowy ze świadkami. Gdy wrócili do studia, prezenterka zaczesła kosmyk włosów za ucho i przełożyła kartki. – Dnia piątego sierpnia zaginęła dwójka chłopców, bracia. Starszy miał lat dwanaście, młodszy siedem. – Na ekranie pojawiły się ich zdjęcia. Kobieta poczytała jeszcze trochę z kartki, tak naprawdę obchodziło ją jednak tylko to, że nie przytrafiło się to jej dzieciom. Pokiwała głową ze współczuciem i dodała: – Jeśli ktokolwiek z państwa widział tych

chłopców proszony jest o kontakt z policją lub rodziną chłopców. Dziękuję za uwagę.



# SPACER ZIMNĄ NOCĄ

Jarosław Adam Pankowski

Uliczkę spowijała gęsta mgła. Mieszając się z mrokiem nocy, utrudniała rozpoznanie okolicy. Jedyne, co wydawało się znajome, to droga, którą szedłem. Wiodła pod ostrym kątem w dół, ginąc gdzieś w białych obłokach. Spacerowałem powolnym krokiem, patrząc przed siebie, aby się nie potknąć. Gorączka paliła mnie nieustannie, każdy ruch wywoływał ból mięśni. Ciągle próbowałem skupić myśli na pytaniach, które powinienem rozważać. Co ja tu robię? Gdzie jestem? Nie pamiętałem, skąd wyszedłem ani dokąd zmierzałem.

Patrząc po otaczających mnie budynkach, doszedłem do wniosku, że musiała to być jakaś starówka. W rozmytym świetle latarni dostrzegałem wyblakłe ściany pobliskich budynków. Staromodne kraty ochraniały okna w drewnianych framugach. Okazjonalnie zaglądałem przez nie, wypatrując jakiegoś ruchu. Z wnętrz wpatrywała się we mnie jedynie

ciemność. Wszystko wydawało się tak nierealne, byłem prawie przekonany, że śnię. Rozpalone ciało rozplątało się w zimnym powietrzu, obraz przede mną zamazywał się powoli.

Nagle coś uderzyło w chodnik tuż obok. Wzrok wyostrzył się, momentalnie odzyskałem skupienie, detale otoczenia wyostrzyły się. Zobaczyłem kamień, który leżał teraz na chodniku, zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, skąd się wziął, jednak szybko dostrzegłem sylwetkę spowitą mgłą. Stała po drugiej stronie uliczki bez jakiegokolwiek ruchu. Wiedziałem już, że to stamtąd przyleciał niespodziewany pocisk. Nie miałem jednak pojęcia, jaki był cel tego działania. Czy była to próba ataku, czy może chęć zwrócenia na siebie uwagi? Onieśmielony sytuacją nie byłem w stanie odezwać się, wpatrywałem się jedynie w tajemniczy kształt, oczekując jakiegokolwiek reakcji. Wreszcie zalegająca wszędzie mgła rozrzedziła się nieco, ukazując szczegóły wyglądu nieznanego. Sądząc po posturze, był to prawie na pewno mężczyzna, chociaż gruba warstwa ubrania utrudniała jednoznaczny identyfikację. Miał na sobie długą wełnianą kurtkę oraz kaptur, który przy nikłym świetle latarni całkowicie ukrywał jego twarz. Przez moment pomyślałem, że pod kapturem tkwi taka sama ciemność jak ta wyglądająca na mnie przez okna.

Zrobiłem niepewny krok w jego stronę, nie wiedząc nawet, czy powinienem. Nagle całe jego ciało zatrzęsało się w nienaturalny sposób, jakby fala drgawek przeszła go od stóp po głowę. W jednej chwili uklękł i wyskoczył w powietrze, co najmniej na dwadzieścia metrów w górę. Przez krótki moment wisiał nad ziemią, po czym odbił się stopami od powietrza, jakby stał na twardej powierzchni, i poszybował w przestworza.

Szok z powodu tego, co zobaczyłem, odrzucił mnie do tyłu. Oparłem się plecami o ścianę, żeby nie upaść twardo na bruk. Zniknęły już wszelkie ślady trawiącej mnie wcześniej choroby, przez którą jeszcze niedawno można było usmażyć jajko na moim czole. Widziałem wszystko ostro i wyraźnie, każdy szczegół tej dziwacznej nocy był rejestrowany przez moje zmysły. Jednak nie rozważałem tej sytuacji, nie debatowałem sam ze sobą, czy to, co zobaczyłem, to prawda, czy złudzenie. Jedyne, co mogłem zrobić, to zachować się, jakby dziwaczne zdarzenie nie miało miejsca. Ludzka świadomość nie została stworzona do pojmowania takich rzeczy. Dlatego, wbrew wszelkiemu instynktowi, kontynuowałem spacer. Udawałem, że nic się nie stało, ponieważ nie wiedziałem, co mogę zrobić, jeżeli to, co się stało, stało się naprawdę.

Szedłem dalej, tą samą stromą uliczką. Pytania o powód mojej podróży opuściły mnie. Podobnie stało się z wszelkimi wątpliwościami na temat niezwykłego spotkania. Wciąż zalegająca mgła nie ograniczała już widoczności tak bardzo. Wydawała się coraz bardziej jak

sieć oplatająca wszystko dookoła. Mogłem czuć odległe miejsca przez drgania niewidzialnych nitek rozbitych pomiędzy wszechobecnymi obłokami. Wtedy też dotarło do mnie, że coś porusza się wysoko ponad ziemią. Niemal natychmiast zobaczyłem kształt przelatujący nad mają głową. Od razu, bez zastanowienia, wiedziałem, że to ten sam dziwny człowiek.

Odruchowo pobiegłem w bok uliczki, szukając schronienia w pobliskiej bramie. Przykucnąłem przy wejściu na wewnętrzny skwer umieszczony pomiędzy ponurymi budynkami. Światło z lampy umieszczonej nade mną wystawiało mnie na widok, ale przynajmniej byłem zasłonięty przed dostrzeżeniem z lotu ptaka. Skupiłem się, nasłuchując dźwięków z zewnątrz. Podniebny prześladowca oddalał się ode mnie, już po chwili jego odgłosy przestały do mnie docierać. Dookoła pozostała tylko cisza przerywana ledwie wykrywalnymi dźwiękami wiatru na ulicy. Zacząłem jednak słyszeć więcej. Słyszałem krople mżawki uderzające o nitki mgły, słyszałem dźwięki chodników i krat.

Spojrzałem na ścianę przede mną, zdawała się wydawać swoje własne dźwięki. Miarowe uderzenia, jakby tętno, dobiegały z wnętrza murów. Natężając słuch, trafiłem na jeszcze więcej tonów rozbrzmiewających w trzewiach budynków. Przepływające płyny, oddechy, dudnienie i świszczanie dawały się wyczuć we wszystkich zakątkach. Wtedy też przyszła mi do głowy najdziwniejsza myśl, taka myśl, której człowiek nie powinien nawet rozważać. Pomyślałem, że to wszystko – ściany, okna, chodniki – jest prawdziwsze ode mnie, że jestem przy nich jak cień muchy przy człowieku, jak płaska kartka papieru przy olbrzymiej górze. Docierało do mnie, że ulica dookoła mnie żyje i to żyje w sposób, jakiego nie jestem w stanie pojąć, być może żyje prawdziwiej niż ja. Spojrzałem na moje otoczenie przez własne dłonie. Zdawały się być jedynie płynną iluzją na tle granitowej rzeźby – solidnej, niewzruszonej, nieugiętej. Widziałem wszystko dookoła, ręce nie blokowały mi widoku. Nie rozpływałem się tak jak wcześniej, w gorączce. Zamiast tego robiłem się jakby stworzony ze szkła, pozbawiony własnego koloru czy kształtu.

Skwerek tuż obok zdawał się teraz całym wszechświatem. Jakby był nieskończenie wielki, a poszczególne jego elementy leżały miliony lat świetlnych od siebie. Powykręcany do niemożliwości kosmos zaczął zalewać moją percepcję. Nie potrzebowałem do tego zmysłów, wszystko wkraczało brutalnie bezpośrednio do mojego umysłu. Konstrukty składające się z dziesiątków wymiarów przestrzeni i wielu wymiarów czasu momentalnie szukały wolnego skrawka pamięci, aby znaleźć sobie schronienie. Przytłoczony tym wszystkim byłem pewien, że powinienem zacząć cierpieć na zawroty głowy i mdłości, jednak wbrew moim podejrzeniom nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego odczułem coraz bardziej przejmujący chłód wewnątrz siebie. Nie było mi zimo, to ja stawałem się zimny, powoli



tracąc ciepło. Resztką woli starałem się zamknąć przed napływem kolejnych wizji. Powódź niewyobrażalnego chaosu zaczęła słabnąć, wolnej naciskać na moją świadomość. W końcu wszystko ustało, a ja siedziałem na bruku, starając się zebrać siły.

Wtedy poczułem, że straszny człowiek znów się zbliża. Wiedziałem, że nadchodzi od strony wewnętrznego podwórka, poruszając się wzdłuż ściany budynku. Nagle jego głowa pojawiła się w wejściu do bramy. Początkowo wydawało mi się, że czołga się po suficie. Dopiero po chwili zobaczyłem, że jego kończyny leżą nieruchomo wzdłuż ciała, a on sam wydawał się sztywny. Poruszał się, jakby ściana była podłogą, a jakieś niewidzialne sznurki ciągnęły go w moją stronę. Gdy był tuż przy lampie, dostrzegłem, że ciemność, którą widziałem wcześniej pod jego kapturem, nie była po prostu efektem otaczającego mroku. W rażącym świetle żarówki jego twarz była tak samo skryta w nieprzeniknionej czerni. Zanim zdążył dotrzeć do mnie, wybiegłem z bramy z powrotem na zewnątrz.

Próbowałem uciekać w dół uliczki, niemal na złamanie karku, nie oglądając się za siebie. Nie musiałem skupiać się, żeby wyczuć, jak za mną leci. Uderzył o bruk tuż obok. Nie zdołałem odskoczyć. Momentalnie walnął mnie całym swoim ciężarem i przygwoździł do ściany. Przez chwilę nie widziałem nic, czułem tylko potężny nacisk. Chciałem krzyczeć, ale krzyk ugrzązł mi głęboko w krtani. Gdy spojrzałem na napastnika, zobaczyłem, że jego głowa zwisa teraz u boku ciała. Jego szyja, wciąż zakryta kapturem, była teraz zdecydowanie za długa jak na człowieka i wyglądała jak wygięty patyk. Jeżeli moje wcześniejsze doświadczenia nie przekonały mnie wystarczająco, to teraz wiedziałem już na pewno, że nie mam do czynienia z ludzką istotą.

Nagle jego kończyny zaczęły poruszać się w całkowicie eratywny sposób. Wymachiwał nimi, jakby jego przedramiona, podudzia, ramiona i uda żyły niezależnym życiem, a jedynie stawy uniemożliwiały im całkowitą separację. W tym szale tłukł w fasadę, do której mnie przyciskał. Jego ciosy były na tyle silne, że zaczęły zdierać tynk z jej powierzchni. Kolejne uderzenia lądowały z donośnym hukiem obok mojej głowy.

Wtedy też zobaczyłem, jak z powstałych dziur wypływa gęsta, ciemna substancja – ściana krwawiła. Strużki płynęły w dół, zbierając się w kałużę wokół mnie. Mimo iż spodziewałem się ciepła życiodajnych płynów, które właśnie wytrysnęły z zabitego zwierzęcia, otaczająca mnie substancja była dziwnie, wręcz nadnaturalnie zimna. Powiedzenie, że kontakt z nią sprawiał wrażenie lodowatego przerębla to za mało. Ona nie zabierała ciepła, lecz wpajała czyste zimno we wszystko, czego dotknęła. Wtedy też mój wzrok mimowolnie powędrował do pustych okiennic widocznych od wnętrza uliczki. Nieprzenikniona ciemność, ta, którą w nich widziałem, ta, która zastępowała twarz

ścigającego mnie potwora, zaczęła także wylewać się na zewnątrz. Z okiennic powoli wyciekały niewielkie strumyczki kompletnej czerni, które bardzo szybko zamieniały się w potoki buchającej mazi. Płynny mrok zaczął zalewać wszystko, niemal od razu sięgając mi do kolan.

Myślałem, że uczucie zimna nie może stać się już gorsze, aż poczułem, jak dziwaczny płyn zaczyna wspinać się po mnie, pokrywając mnie całkowicie cienką warstwą cienia. Dopiero w tym momencie zacząłem tracić czucie. Nie mogłem już poruszać nogami aż do wysokości kolan, a pełzająca infekcja postępowała. Wtedy też ustała kanonada razów wymierzona w otaczającą mnie zabudowę. Napastnik odstąpił nawet na krok, pozwalając mi w końcu na swobodne oddychanie. Gdybym wciąż mógł biec, prawdopodobnie wykorzystałbym ten moment na ucieczkę. Zamiast tego gapiłem się bezmyślnie na niego, skupiając wzrok na nienaturalnej sylwetce. Nie wiedziałem, jak nazwać to, co widzę. Nieskończona aberracja, ukryta pod ubraniem normalności czy też wymysł do reszty szalonego umysłu?

W tej chwili złapał mnie w pasie swoją dziwną ręką i znowu, odbijając się od ziemi, wystrzelił nas w niebo. Unosiliśmy się kilkanaście metrów nad ziemią. Patrząc w dół, widziałem uliczkę, która wypełnia się coraz bardziej tryskającą zewsząd juchą. Poza samym chodnikiem i budynkami nie było nic. Wszystko inne, nad moją głową i nisko pode mną, było okryte płaszczem nocy. Mimo że wzlecieliśmy, to zamrażająca mnie siła wciąż gramoliła się wzdłuż mojego ciała. Niemal nie odbierałem już bodźców z tułowia, gdy latający potwór chwycił mnie za dłoń swoją drugą ręką. Przybrał pozę, jakby próbował tańczyć ze mną, po czym wprawił nas w powolny obrót, ruszając przez otaczający mrok. Ten szalony pływ był największym wynaturzeniem, jakiego doświadczyłem w całym moim życiu. Nie mogłem już nawet próbować się wyswobodzić, aż do szyi byłem całkowicie zamrożony. W ostatnich sekundach ciemność pokryła mnie w całości, wlewając się obficie do gardła.

Nie wiem, co stało się później. Nie obudziłem się z krzykiem we własnym łóżku. Nie znaleziono mnie omdłego z gorączki na skraju ulicy. Pamiętałem jednak to wszystko, każdy detal tamtej nocy. Nie wiem nawet, kiedy go sobie przypomniałem. Nie pamiętam czasów, kiedy nie pamiętałem. Prawie jakbym urodził się z obrazami tamtego zdarzenia już zakodowanymi w moim umyśle. Nie mogłem pojąć ich znaczenia, nie miałem też gdzie szukać odpowiedzi. Dlatego prowadziłem swoje życie tak, jak mogłem. Normalnie, zwyczajnie, raczej nudno. Tak jakby nic się nie wydarzyło, tak jakbym o niczym nie wiedział. Chciałbym móc przekonać się, że wszystko jest tylko jakąś bezsensowną projekcją mojego mózgu, dawnym snem czy halucynacją.

Czasem jednak zdarzają się noce, gdy nadchodzi mgła. Widzę ją i wiem, czego się spodziewać. Wtedy właśnie coś stuka w okna mojego mieszkania. Raz za razem ciężkie uderzenia rozbrzmiewają po wszystkich pokojach. Nie sam łomot mnie przeraża. Przeraża mnie fakt, że coś puka z zewnątrz na dziesiątym piętrze. Boję się, bo wiem, co to jest. Boję się, bo spodziewam się tego, co może się wydarzyć, jeżeli spróbuję otworzyć. W każdą z tych nocy siedzę pod kołdrą i trzęsę się ze strachu i z zimna.



# WSZYSTKIE KOBIETY OJCA

Damian Mrozowski

Jak wiele kobiet wyflirtował przed moim poczęciem, leży to poza sferą mojej wyobraźni. Pierwszą, traktując matkę jako odniesienie zerowe, poznałem w wieku wczesnoszkolnym. Młoda jeszcze, nie więcej niż 26 lat, traktowała mnie bardziej jak młodszego brata. Polubiłem ten rodzaj życzliwości. Widywałem ją co weekend czy dwa, pozostałe dni wypełniała mi szkoła i dom matczyny. Podczas tych odwiedzin, gdy ojciec bywał nieobecny, razem z Jutą, Kobieta Jedną, spędzaliśmy czas na oglądaniu kreskówek i wspólnym rysowaniu. Nie znałem wtedy idei „sztucznej serdeczności wobec obowiązku”,

dzisiaj nie jestem pewien, czy życzliwość jej nie wynikała może z przymusu, kurczowego trzymania się tego, co wypada.

Ilekoć grzebię w pamięci, obrazu Juty bez makijażu dobyć nie potrafię. Zawsze miała ciemne powieki i wyraziste rzęsy, zapewne nieco pudru na policzkach w okolicach uroczych dołeczków. Długie, proste, zwęglone włosy z grzywką komponowały z całością mroczny wizerunek, który to kontrastował zupełnie z usposobieniem Juty. Uśmiechała się często, bawiła gestykulacją i koła zmysły niewinnym głosem.

– Myślę, że jesteś za ostry dla siebie, bardzo ładnie ci wyszło.

– Jak by nie patrzeć, to ta ręka jak u kosmity bardziej wygląda.

– Dopiero się uczysz, więc nic w tym dziwnego – odparła cierpliwie. – Kosmici zresztą, uważam, dostają za mało uwagi rysowniczej, ktoś także ich musi rysować! – roześmiała się.

– No ale ja chciałem taką jak u człowieka...

– Chodź, pokażę ci coś – powiedziała po drobnym namyśle.

W rytm Strusia Pędziwiatra dobywającego się z telewizora obok poprowadziła mnie do obszernej sypialni ojca, w kierunku szafy długiej na wysokość pomieszczenia. Nie wolno było mi tu zaglądać, zawartość każdej z szufladek usnuta była gęstą mgłą tajemnicy. Tego dnia nieco rozrzedziła się – czwarta szufladka od dołu, tutaj Juta trzymała swoje rysunki. Podniosła jeden ze stosów kart A4, uważnie przetasowała, a gdy znalazła obiekty zainteresowań, przystąpiła do rozdania.

– Zobacz, to moje początki z czasów, kiedy byłam w twoim wieku.

Nie mogłem uwierzyć. Ta sama Juta, która tak piękne portrety kreślić potrafiła nawet bez źródła, na którym można by się wzorować (sic!), rysowała kiedyś takie paskudztwa? Bezładne sylwetki, prostokątne tułowia z doczepionymi niby we śnie szalonego chirurga piłkami-rękami, spod których zwisały podłużne paluszki, wszystkie tej samej długości. Nie mogłem w to uwierzyć. Jutę mój szok wyraźnie rozbawił.

– Pokażę ci, jak powoli stawałam się lepsza. – Wróciła do tasowania. Szukając tak, w drugiej ręce trzymała inne prace, przez dłuższą chwilę jeden z jej aktów. A później kolejny. Płasałem wzrokiem rozkojarzony i zaczerwieniony. Przyuważyła wreszcie swoją wpadkę, tylko bardziej się rozbawiła i poprosiła, by zostało to między nami. Złożyła obietnicę, że jeśli tylko zechcę, pokaże mi resztę tego typu prac, jeśli będę już dorosły. Nie było w tym żadnych podtekstów. Czysta, dziecinna niewinność.

– A te tutaj rysunki? – Wskazałem palcem na leżący obok stos, szczyt którego piastowała przedziwna, diabło uśmiechająca się kreatura. Z kącika ust spływał jej strumień

czzerwieni. Nie widziałem wyraźnie, czy zmurszałego lasu w tle nie stanowiły drzewa może, a zastępy ciał ludzkich.

– Ach, tego pewnie też nie powinieneś oglądać.

– Co to?

– Wiesz... Miewam ostatnio koszmary, bardzo brzydkie rzeczy. Po tym jak wstaję, jeszcze w miarę je pamiętam i staram się wiernie odrysować.

– Czemu?

– Czemu? – powtórzyła z uśmiechem. – Dobrze pytanie, sama nie wiem.

Miałem wtedy wrażenie, że posiadała uzmysłowioną motywację, tylko nie chciała się nią dzielić z dzieckiem.

\*\*\*

Kilka tygodni do przodu, była to sobotnia noc, rozbudziły mnie z półsnu kluczyki nerwowo bijące się o okolice zamka. Ojciec znów późno wrócił. Zdarzało się to często i sobotami, i niedzielami, jako że zalegał z nieodgadniętymi obowiązkami pracowniczymi. Po dziś dzień wiem tyle tylko, że piastował bliżej nieokreślone, ważne stanowisko w firmie budowlanej.

Klucze wreszcie wsunęły się, po mieszkaniu rozległ się charakterystyczny szczeł trójrotny przy obracaniu. Niedługo trwała ponowna cisza absolutna, wpierw zakłócił ją porywczy głos kobiecy. Pełna basu odpowiedź przyszła leniwie i od niechcenia. Głosy powoli przemieszczały się po korytarzu. Wyraźnie dominowały wybuchy piskliwego sopranu. Były już w salonie. Przez uchylone drzwi dostrzegłem drobną posturę oddalającą się od tej cierplivej i masywnej, bezustannie w jej kierunku zdążającej. W powietrzu brzmiała już tylko kobieta. *ZOSTAW MNIE*, powtarzała raz za razem. Jedynie *ZOSTAW MNIE*, *ZOSTAW MNIE* i tylko *ZOSTAW MNIE*.

Wnet otwarte drzwi, Juta. Zamknęła drzwi i podbiegła do mnie. Krople tańczyły chaotycznie, pod każdym okiem czarna chmurka rozmazanego makijażu. Chwyciła mnie w barkach, pieczołowicie, ale solidnie. Trzęsące się usta utrudniały upłynnienie myśli. Złapała parę oddechów.

– Słuchaj, słuchaj, to nie twoja wina, nie zrobiłeś nic złego, nie przejmuj się... Ja wiem, ciężko ci, ja też jestem jedynaczką i wiem... Ale nie bój się, to nie twoja wina... – Jutą trząsał przy tym dawniej błogi głosik, teraz już łkanie obłąkanej. – Ja wiem, że taki już jest, też jestem głupia, bo myślałam, że zmienię... Ale nie martw się, naprawdę, to nie twoja wina i ja

już... Nie daję rady... Będzie dobrze, nie bój się, ale muszę...

Otwarte drzwi. Spokojny bas. Kobieta odwróciła się, zawyła żałośnie. Spokojny bas. Kobieta chciała zamknąć drzwi, mężczyzna ją złapał. *PUSZCZAJ*, krzyknęła. Mężczyzna wyciągnął ją do salonu. *PUSZCZAJ*, wyła. Trzask zamykanych drzwi. Zduszony krzyk.

Nocy tej przyśniła mi się babcia. Był to sen niezwykle spokojny.

\*\*\*

Siedzę na wysłużonym, archaicznie rzeźbionym krześle przy blacie w dobrze znanym mi domku jednorodzinny. Przez otwory wzorzystej firanki przebijają się ciepłe promienie w bieli tak intensywnej, jak gdyby za oknem nie było już wsi, jak gdyby domek zawieszony był gdzieś pod niebiosami. Atmosferę przesycza melancholia i poczucie bezpieczeństwa.

– Naprawdę chciałam je kupić, naprawdę, Tymonek, ale jak mamusi tylko wszystko powiedziałam... Wszystko zabrała, do cielaka dorzuciła, żeby kupić, ani grosza mnie się nie ostało. I wyobraź ty sobie, jak mi głupio było nazajutrz iść do szkoły.

Siedzi jak zawsze na wersalce pod ścianą i buja się z lewa na prawo, wzrokiem szuka czegoś w dalekiej odległości. Zawsze ma ten wzruszający błysk w oczach, gdy wspomina.

– I nie próbowała babcia wyjaśnić księdzu?

– A gdzie tam! Bałam się okropnie, unikałam, jak tylko się dało, i miałam nadzieję, że nie zauważy, że wciąż noszę łachmany na nogach. No ale zauważył w końcu, musiał zauważyć... Ty, Tymonek, weź sobie jeść z lodówki. Ty wiesz, że jakbym mogła, to bym ci nieba przychyliła, ale już nie tyle siły mam... co kiedyś... Weź sobie szynkę i masło, masz tu bułki, zjedz sobie, bo ty rośniesz jeszcze.

Z lodówki mechanicznie wyciągam czarną michę ceramiczną o przyjemnie gładkiej teksturze. Zawartość jest przykryta irracjonalną ciemnością czy cieniem. Przychodzi mi myśl, że pod mrokiem leży przyrządzony cielak kupiony przez prababcie.

– I słuchaj, zauważył w końcu, musiał zauważyć... Tydzień może zwlekał, a ja nie odważyłam ani słowem się odezwać. Wziął mnie na ubocze i spytał, to dopiero wtedy mu wszystko wyjawiałam. I wiesz, co zrobił?

Zaczerpuję garść ciemnej mazi wprost do podniebienia. Próbuję zlizać resztki spomiędzy palców, nim skapną z powrotem do michy. Wypełnienie sprawia mi błogość.

– Siostra moja, mówi, ma takie buty, buciki, z których wyrosła już dawno. Tak powiedział. I zamiast pieniędzy, żeby mamusia nie brała, zapewnił te buciki... Ach, Tymonek, weź sobie jeszcze, nałóż sobie, musisz jeść. To bardzo ważne, musisz jeść, bo ty

rośniesz jeszcze!

Kierowany kaprysem zwracam wzrok na podłogę. Na nogach ma przyciasne, alabastrowe buciki w czerwone plamki.

\*\*\*

O poranku Juty już nie było. Spakowała wszystkie swoje rzeczy i wyprowadziła się bez pożegnania.

\*\*\*

Z Gretą, Kobiętą Dwa, nie dzielę wiele wspomnień. Była mi archetypem surowego dorosłego. Starannie ukrywała fragmenty ciała, nie licząc spracowanych rąk, wyrazistych kości policzkowych i worów pod oczami. Zawsze w przydługich spódnicach, najczęściej w koszulach z kołnierkami. Wszystko to kontrastowało z szaloną bujnością blond włosów. Zakręcone w każdą z możliwych stron sprawiały wrażenie nieporadnego afro, co było zapewne naturalną konsekwencją niedostatku ich pielęgnacji.

Czas spędzałem z dwójką jej synów, rok starszym Kasprem i cztery lata starszym Aleksym. Choć obaj bardzo byli energiczni, Kasper przejawiał większe pokłady nieokrzesań, niekontrolowanej mimiki i potoku słów. Przeciwnie do brata preferował piłkę nożną od konsoli do gier. Dojrzały Aleksy wołał nie ruszać się z miejsca, uczyć się dużo i czytać w wolnych chwilach. Razu pewnego wyjaśnił mi, że ta rozpostarta na ekran monitora mapa, przedzielona grubymi liniami na kraje i miasta, przykryta interfejsem ogromu statystyk, stanowi grę o prowadzeniu demokratycznych rządów. *Musi być naprawdę mądrym chłopakiem, będzie kimś ważnym w przyszłości*, pomyślałem sobie.

Bardzo byli ze sobą zżyci. Choć lubili moje towarzystwo, nie czułem się częścią ich hermetycznego kręgu, a co najwyżej obserwatorem. Pod pewnymi względami było mi to wygodne.

Ze względu na kłopoty finansowe matuli miałem przeprowadzić się do ojca przynajmniej na miesiąc. Postanowiła bowiem wylecieć do Francji i za pośrednictwem biura zatrudnienia pracować tam do czasu, gdy nie znalazłaby odpowiedniej pracy w rodzimym mieście. Nie była to łatwa decyzja. Ze łzami w oczach pakowała walizki, przy pożegnaniu długo tuliła mnie i szeptała za szyję, że bardzo mnie kocha i wróci tak szybko, jak to tylko możliwe. Nigdy później nie poznałem wrażliwszej od niej kobiety. Nocy tej, będąc już pod



ojcowskim dachem, przyśniła mi się.

\*\*\*

Bytuję między niewyraźnymi obłokami niby leniwa zawiesina, a umysł mój czerpie z podobnego do ciała stanu nieważkości. Pięć susów w przód drobna istota *en face* wyciąga w kierunku moim kwarcowe rączki, kruche i blade. Wiem, że matula, bo tak serce podpowiada i podobna przecież, choć tak jednocześnie niepodobna, jakże młoda. Przymknięte oczka, łagodny uśmiech, ni śladu zmarszczek. Podążam za emanowanym ciepłem. Nieśpiesznie zawiązuje nas w upojnym, słodkim objęciu. Ostrożnie przysuwa mą głowę do piersi, dopóki wargi nie natrafiają na brodawkę. Palce wsuwa między kępki włosów, przeczesuje je subtelnie. Czuję się bezpiecznie.

Wnet nastają ciemności. Podążam gdzieś, sam nie wiem gdzie. Absolutny mrok dmie zagubieniem i bezcelowością. Błąkam się w tę i tamtą, póki nie osuwam się ze zmęczenia w bezdenną pustkę.

\*\*\*

– Miałem strasznie realistyczny koszmar – zagadnął Kasper przy śniadaniu. A wyglądał, jakby nocy tej w ogóle nie śnił. Ospale, ciemne oczy, ociążałe ruchy, pewna nerwowość w głosie. – Obudziłem się, znaczy we śnie, leżałem na plecach. Widzę pokój, wszystko jest jak naprawdę, każdy mebel i przedmioty wszystkie na swoim miejscu. Nagle kroki, na korytarzu gdzieś, coraz głośniejsze, i huk o drzwi. Przez moment cisza i znowu drzwi, ktoś otwiera. I cień widzę, tak jakby, z cienia ten ktoś jest cały, cały w tym cieniu. Chcę się poruszyć, ale nie mogę. Coś mnie trzyma, tylko patrzeć mogę.

– Pewnie miałeś paraliż senny – wtrącił Aleksy, poprawiając okulary. – Można tego doświadczyć, jeśli zachowujesz świadomość podczas zasypiania. Czytałem trochę o tym. Często zdarza się, że widać takie ciemne postacie, jak opisałeś, wszystko wydaje się bardzo rzeczywiste.

– No... Nie wiem...

– Co było dalej? – zapytałem.

– Ten cień... – zastanowił się Kasper. – Ten cień, podszedł do okna najpierw, chyba okna, może do Alka, był poza kadrem. Jak stał, to słyszałem coś dziwnego, ale cicho tak, że mogło mi się zdawać. A później do mnie idzie. Do teraz widzę, jak wspominam, przystaje

obok, obraca się do mnie i patrzy. Cały cień i białe oczy tylko, na mnie, we mnie oczy. Słyszałem bicie serca, swojego, ale znów coś jeszcze. Jakby... Skwierczenie.

– Skwierczenie – powtórzył Aleksy.

– Tak. A potem wyszedł. Odzyskałem ruch, ale bałem się ruszać. Trochę przeczekałem i sprawdziłem w telefonie, że po drugiej. Od wtedy nie spałem już.

Próbowałem później, bezowocnie, dzwonić do matuli. *Może jest w trakcie zmiany karty na francuską*, myślałem. Następnego dnia, po nieudanej próbie, wysłałem już tylko wiadomość, by odezwała się, kiedy będzie w stanie. Powoli zatopiłem się w nowy rytm dnia codziennego, dzięki tej dwójce zawsze miałem coś do roboty. Minęły może dwa tygodnie, gdy Greta poinformowała mnie o zaginięciu mojej matuli. Nie siliła się na delikatność, współczucie czy poufałość. Policja robi, co może, i jeśli coś się wyjaśni, dam znać, mówiła. W najbliższych dniach pytała mnie nawet o samopoczucie. Podejrzewam, że gdybym przejawiał niepokojące zachowanie, zaprowadziłaby mnie do psychologa jako wymaganej formalności.

Miesiące uciekały jak ziarna piasku przez palce. Uczyłem się dostatecznie, dopracowywałem warsztat rysunkowy, do pielęgnowanych zainteresowań dołączyły książki i gotowanie. Domownicy przyzwyczaili się wreszcie do okazjonalnych eksperymentów kulinarnych, Kasper wcielał się wtedy w rolę prawdziwego *gourmand* i z kurtuazją opiniował. Greta, jak miała w zwyczaju, nieznośnym sprzeciwu głosem przywracała go do porządku, gdy się rozochocił. Zwyczaj ten stosowała w wielu aspektach wychowania, tylko mnie oszczędzała, czy może tolerowała i starała się traktować jak powietrze. Rzadko bywała w dobrym humorze. Jeden tego przypadek odznaczał się przedziwną mi sprzecznością, wzrok wbity miała wtedy w ojca, uśmiechała się sporo i zaczynała filuternie. Sprzeczność polegała na obolałym jej ciele, głos zaś miała ochryply, spod kołnierza nieśmiało wychynowały zaczerwienione ślady. Innym razem potrafiła być niecodziennie surowa, jak na przykład gdy Aleksy przedstawiał pierwszą dziewczynę. I wiele, wiele tych ziaren przesypanych... Ale to bez znaczenia.

U progu liceum zachorowałem. Podczas obiadokolacji własnego przepisu, przy której Aleksy rozprawiał o postępkach w poszukiwaniu mieszkania pod najem, zwymiotowałem. Myślano wówczas, że to zatrucie pokarmowe, Greta gotowa była wściekać się, ale poza mną nikt nie dostał podobnych objawów.

Czekała mnie nieprzespana noc. Zmęczenie wcześniej już posiliło się mną w zastraszających porcjach, mimo których, gdy wierciłem się z boku na bok, każdą niewygodną pozycję odczuwałem dziesięć razy bardziej. Ucisk na ramię był nieznośny,

delikatne przekrzywienie głowy wyrokowało rozrywaną szyję, nogi jakby nie moje płątały się gdzieś, przeszkadzały. Ostatecznie zamiast snów dręczyły mnie omamy. Straciwszy poczucie czasu, nie zauważyłem nawet, kiedy za oknem zaczęło świtać.

– Czemu nie odpowiadasz? – zapytał Kasper, stojąc nade mną. Widocznie nie usłyszałem pukania ani wejścia do pokoju. – Jezu, jaki ty blady... Co ci?

Sens słów łąpałem z trudem równym do odpowiadania, właściwie odmamrotania. Otworzył okno, co znaczy wyłapał moje „duszno...”, wyszedł, wrócił z resztą domowników. Greta chciała zawieźć mnie do lekarza. Ojciec obstawiał, że nie ma potrzeby i wydobrzeję. Aleksy rzucił od niechcenia, że jakby od muchomora. A rzucił raczej wskutek ostatnio czytanego atlasu grzybów i tak mu się skojarzyło, dolegliwości podpasowały. Na tej półce z atlasem, pamiętam, podbierałem czasami, trzymał kolekcję publicystyki okrajanej na zagadnienia biologiczne, a obok powieści, głównie psychologiczne. Wybrane dokonania Poirota Christie, *Inherema* Norosunt, *Zamek* Kafki, *Kosmos* Gombrowicza...

Ten muchomor, jak tylko zasłyszałem, przywarł do mnie niespodzianie, jakby wagi był ogromnej. Czerwony kapelusz, białe narośla rozrzucone... Kapelusz czerwony, parasol w cętki, muchomor majaczył i mamił natrętnie, i jak w tym *Kosmosie*, w centrum szczegółów rozrzuconych stał dumnie wyprężony i oczekiwał, aż go wyjaśnię, aż fakty połączę i dociecę, aż muchomor nieodgadniony przyodzieje muchomora odgadnionego, aż cały się stanę jestestwem plamiastym, czerwonym, gdzieniegdzie ośnieżony płatkami jasnymi, odgadniętymi...

Stan ten prędko się pogłębił, utraciłem wszelki kontakt ze światem zewnętrznym. Ile trwać to mogło, miesiąc czy dzień, nie zmiarkuję. Tam czasu nie było, tylko błakająca się wieczność. Zanim odzyskałem przytomność, rojenia muchomorzaste zelzały nieco, ustępując spokojniejszemu (a bynajmniej spokojnemu) snowi, którego detale, w odróżnieniu od majaków, dobrze zapamiętałem.

\*\*\*

Znalazłem się na środku polany. Podmuchom wietrzyku poddają się wszechogarniające źdźbła trawy, lechcą przyjemnie po łydkach. Odwracam się. Do znacznie oddalonego lasu w tle kieruje się drobna istota w słomianym kapeluszu, suknia jej powiewa łagodnie. Biel jej niewinna przyciąga mnie, ruszam ku niej, lecz wcale się nie przybliżam. Truchtem, biegiem, na nic wszystko, las tylko bliżej i bliżej.

– Nie wolno! – słyszę stłumiony głosik. – Nie można, tu zguba! – Dwa ostatnie słowa

wymawia ze szczególnym naciskiem, odwraca przy tym głowę, bym wyraźniej usłyszał. Ma stroskany wyraz twarzy. Ginie wnet w gąszczu zieleni.

U progu lasu przyuważam rzadko rozsiane miniaturowe muchomorki, które nazwać by można „uroczymi”. Zwalniam kroku, wstępuję między drzewa. W akompaniament kojącego szumu koron chłonę widok, chłonę przyrodę i spajam się z jej spokojem. Im jednak głębiej, tym bardziej ten spokój, i ja sam cały w wyniku, burzy się za sprawką muchomorków, teraz muchomorów, większych już i bardziej nachalnych. Jakby spokój był przynętą, za łyknięciem boleśnie zdradzając haczyk, niepokój gorący, pulsujący w powietrzu, i ja tym niepokojem stawałem się sukcesywnie. Grzyby wyrastają już zewsząd, szydzą ze ściółek i pni, obserwują. Rozpościera się przestrzeń obszerna, w jej środku apogeum, muchomor olbrzymi. Podbiegam.

Badam pieczolowicie, macam i głaszczę. Wgryzam się w trzon. Nie rozdrabniam nawet, połykam w całości zapamiętałe. Muchomor się chwieje, opada powoli. Buch. Prędko do nasady, rwę już gołymi pięściami i rzucam wprost podniebieniu. Puchnę i pęcznięję, obrzękam, obrzmiewam. Wypełniam, co od dawien domagało się wypełnienia, i choćbym miał pęknąć, przepelniam, wchłaniam.

\*\*\*

Wybudzeniu memu towarzyszyła młoda dziewczyna, chyba rówieśniczka, promiennie uśmiechnięta. Miałem wrażenie, że to ta sama, kapelusz zgubiła, że sen trwa.

– Słodko wyglądasz, jak śpisz. – Miała niski jak na płeć piękną ton, pełen uroku. Rumieniec natychmiast wystąpił jej na policzki, może z powodu widocznej mojej konsternacji, może zaskoczona własnym rezonem. – Jak na ciebie, znaczy. Jeszcze wczoraj mruczałeś coś pod nosem i stroiłeś miny, jakbyś zjadł coś paskudnego.

Przetarłem oczy pięściami i uczulem już konsekwencję długoterminowego bezruchu. Obszar większości mięśni... ramion, pleców, ud... objął umiarkowany ból, powodując problemy z poruszaniem się. Usiadłem pokracznie na ramieniu łóżka i zlustrowałem dziewczynę. Przy pierwszym otwarciu powiek zdawała się onieśmielającą pięknnością. Przypatrzywszy się już w pełni świadomości i pod rozsądnym światłem, zanotowałem zadziorny nosek, kolczyk na zbyt wysuniętej wardze, rzęsy i brwi rzadkości większej niż przeciętna, odsłonięty przez niedbałą grzywkę pryszczak na czole, oryginalny dołek w kąciku ust. Choć o brzydocie mowy być nie mogło, nie była to też urojona wprzód piękność. Wszystkie te, nazwijmy, niedoskonałości stanowiły razem coś oryginalnego, magnetycznego, ekscytującego. Jej obecność tutaj, w moim pokoju, tak stanowczo się zaznaczyła, niby to

w roli opiekunki, niby bywalca, że onieśmieliłem się pytać o cokolwiek.

– Jesteś Tymon, prawda? Mamusia mówiła, że dzisiaj wydobrejesz, tak niby ojciec twój przekazał. A właśnie, dobrze się czujesz? Miałam pilnować, w razie gdyby było ci coś potrzebna, mamuś jeszcze nie wróciła. Widzę, że ciężko z ruszaniem. Zaczekaj, zrobię herbaty. Lubisz?

– Nie musisz... – uniżenie zawiązałem dialog, choć tyle nieścisłości, zagadek. Chciałem przerwać jej, pytać, lecz jak wybrzmiewała, jak dumnie gestykulowała, oryginał malowany!

– Nie chcem, ale muszem – zachichotała, ukazując rząd ząbków równych z wyjątkiem siekacza ciut cofniętego symbolem pokoju. – Słodzisz, nie słodzisz? Jedna, dwie?

– Trzy. – Odwzajemniłem uśmiech.

– Świetnie! Na dobry początek już wiem, że Tymon umie liczyć do trzech.

– Gdybym umiał dalej, zmarłbym już chyba na cukrzycę.

Spojrzała z niepokojem, wręcz lękliwie, jakby niedobrze usłyszała. W końcu parsknęła z rezerwą.

– Ty tak poważnie mówisz, kiedy zartujesz!

Gdy była w kuchni, wymuskałem się do łazienki po prysznic. Spłynęła po mnie cudowna ulga odświeżenia, czułem się nowym człowiekiem, choć wciąż o ruchach siermiężnych, skrępowanych. Poza tym byłem zupełnie zdrow. Przy herbatce wpierw ubawiła się moim wicherkiem poprysznicowym na głowie, anegdotą zawędrowaliśmy w zawilosci dygresji, aż na jaw wyszło, że Anastazja istotnie posiada imię i jest rok starsza. Przeszła do rzeczy.

Leżałem znowu nie tak długo, mówiła, miałem szczęście, że w ciągu wakacji. Dwa tygodnie z kawałkiem, jeśli mamuś nie kłamie. Co zaś z poprzednimi mieszkańcami – skrzywiła minę – wyprowadzili się niedługo po zachorowaniu moim. Mamuś mówiła, że Greta gorąco kłóciła się z ojcem na mój temat, nie chciała opiekować się półżywym problemem. Mamuś złote ma serce, pożałowała ojca i chyba pokochała, chciała dopomóc w opiece i tak trafiła tu z Anastazją. Wcześniej mieszkały nie tak daleko, w lichej kawalerce, po rozwodzie... Ale to już szkoda gadać, zakończyła. Rozgadaliśmy się na lżejszym już gruncie.

Zatęskniłem do chłopaków. Często nieznośni, ale prawie bracia. Podświadomość dręczyła Gretę, a czy faktycznie by Greta do wyprowadzki doprowadziła z mojego powodu? Z ust Nastazji wypadło to bardzo naturalnie i przyjąłem to jakoś od razu, w momentach zwątpienia przymuszałem się niejako do wiary, byleby uniknąć konfrontacji z ojcem.

Kolejny nowy rytm dnia codziennego, wspólny czas z Anastazją. Była jak ja jedynaczką z jednym rodzicem. Preferencje muzyczne poróżnione, prócz wyjątków, których dumnie wspólnie słuchaliśmy. Miała kiedyś chłopaka, w podstawówce, kompletna głupota, on nalegał zresztą. Lubiła deszcz, strzelać palcami, trafić komara, nim kasi, gotować. Posiłki przygotowywaliśmy wspólnie lub, w duchu rywalizacji, oddzielnie. Lubiła, jak rysowałem. Kazała siebie uwiecznić portretem. Ja na to, że żaden ołówek nie uchwyci wyjątkowego powabu. Dużo przekomarzaliśmy się. Cieszyła się z komputera w pokoju, niegdyś Kaspra i Aleksego, dotychczas korzystała z taniego laptopa. Uczyla się sztuki gitary. Czasem gdy grała, improwizowałem absurdalne rymy ku obopólnej uciechu. Rodzice nie bardzo cieszyli się z naszych relacji. Ze strony ojca to norma, wszak byłem mu obojętny. Kobieta Trzy, Marcela, obserwowała nas z obawą. Raz nasunęła tę myśl ojcu, co zbagatelizował, zbagatelizowała i ona.

Był to tego właśnie typu człowiek uległy. Cichy głos, prosty jak włosy ubiór, wyraz twarzy utkwiony w pół-przeustrachu. Moje rozmowy z nią ograniczały się do praktycznych pytań i kiwnięć głową. Miało się wrażenie, że jeśli dobrze, ale tak porządnie ją skrzyć i kopnąć w nadnercze, to łagodnym głosem poprosi przestać i przeprosi jeszcze za siebie samą, choćby nosiła życiorys świętej Eulalii z Méridy.

Końcówka wakacji. Anastazja przeszukiwała swój pokój z nostalgicznych bibelotów. Wcześniej chwaliliśmy się sobie kapslami kolekcjonerskimi, ona tanimi łańcuszkami z automatów, ja niedbale ilustrowanymi kartami z opakowań po chrupkach. Tym razem znalazła cienką książkę z kolorowankami księżniczek Disneya. Przędował Kopciuszek. Odwrócony szlachcic przymierzał jej w skłonie czerwony pantofelek.

– Oglądałeś?

– Dawno temu, nie bardzo mój klimat. Bardzo ciekawy dobór kolorów.

– A ja uwielbiam. – Uśmiechnęła się. – Ale nie wiem, starałam się odwzorować z pamięci. Coś pomyliłam?

– Coś ci pokażę – powiedziałem po namyśle, zaprowadziłem do swojego pokoju. Z jednej z teczek wyciągnąłem rysowany późną nocą szkic, po północy czuję się najbardziej skupiony. Usiedliśmy obok siebie na łóżku. Kompozycja obrazu podobna była do Kopciuszka, uchylony mężczyzna w czerni przymierzał kropiaste buciki dziewczynce w słomkowym kapeluszu i sukni. Z podłoża wyrastało kilka niewielkich grzybków.

– Rany, rzeczywiście podobne! Wierzysz w przypadki? Czy to może być przypadek?  
– zawołała zalotnie.

– Nie sądzę! – odparłem równą teatralnością w szczerej wesołości.

– Jak chcesz, to mogę ci to pokolorować. Ty nie masz talentu do barw, do tej pory nawet nie zauważyłeś, że mam oczy różnego koloru.

Zwątpiłem przez moment. Spojrzałem na nią uważnie, odgarnąłem zawadzający lok. Światło niekorzystne, przybliżyłem wzrok, latałem nim to w lewo, znów w prawo, żadnych odchyłów nie wychwyciłem. Oba nieskazitelnie błękitne. Już jąłem otwierać usta, by skomentować figlarność, gdy skradła mi całusa i zachichotała.

Jakaś tama wewnątrz mnie rozwiera się, silna reakcja chemiczna wylewa wodospad endorfin. Przyływ euforii jest jak zakłęcie przypieczętowane ustami. Milczymy przez chwilę, wpatrzeni wzajemnie. Kolejny całus. Zamknięte oczy, pocałunek. I dłużej, i śmielej. Piąstką chwyta moją koszulkę pod dekollet. Uniesienie. Jedną nogę przerzuca tak, że siedzi nade mną. Dyszy, pocałunek. Obejmuję w talii, przygarniam do siebie gwałtem. Pierwszy raz językiem, nieco nieporadnie. Silna erekcja pulsem daje znać o sobie. Paluszkami odszukuje wypukłość spodni, chwyta w miarę możliwości, uciska w rytm pocałunków. Serce rozbustwia się jak dzikie zwierzę, jestem rozpalony. Pragnę ciała, pragnę jej całej. Zdejmuję jej koszulkę, posłusznie podnosi ręce. Lgnę do szyi, wędruję po niej językiem, wzdycha. Rozpinam stanik. Utrzymuje go jeszcze skrzyżowanymi nad pępkiem ramionami. Oblewa się rumieńcem, puszcza. Sterczące sutki niewielkich piersi. Wzbierają mi dreszcze. Smakuję lewego, chwytam silnie ramiona. Jęczy, i coraz głośniej. Każe przestać. Odrywam się. Wygląda na wystraszoną, znów każe przestać. Przecież nic nie robię, mówię, rękoma zjeżdżam do talii. Rozrywający krzyk, przerażający. Wyrzywa się, pada na ziemię. Od pasa w górę widzę zaczerwienione ślady na bladej skórze, jakby od poparzenia. Zwija się w embrion, łka. Dopiero teraz dostrzegam ojca w progu. Patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczami. W tęczęwkach jego – zamglony księżyc. Bezruch, tylko Nastazja się trzęsie. Ojciec odchodzi spokojnym krokiem. W końcu, zaalarmowana krzykiem, przybiega Marcela. Jest w szoku, przytula córkę. Zostaje odtrącona, boli. Patrzy na mnie nienawistnie. Wyprowadza córkę z pokoju, kłóci się z ojcem. Nie myślę o niczym. Derealizacja dłuży mi się okropnie. Godzinami leżę, i sufit tylko. Czekam, aż mnie zmorzy.

Nocy tej śni mi się Anastazja.

\*\*\*

Jestem w swoim pokoju. Stoję w ciemnościach. Kroki. Wchodzi ojciec. Prowadzi mnie przez korytarz. Stoimy przed drzwiami piwnicy, miejscem tabu. Otwiera kluczem, zawsze go trzyma przy sobie. Przechodzę przez próg, schodzę po stromych stopniach, z dołu

dobiega światło. Im niżej, tym słodycz silniej wypełnia mi nozdrza. Zamieram w miejscu. Wszędzie zwłoki, dziesiątki, zmasakrowane. Wszystkie kobiety ojca. Niektóre zupełnie zgniłe, niektóre całe pokryte we krwi. Rozpoznaję Jutę, ma wyprute wnętrzności. Dalej matula z rozerwanym ubraniem w miejscu nieobecnych piersi. Grecie brakuje dolnych kończyn. Po środku, pod żarówką, leży Anastazja, Marcela tuż obok. Nienaruszone. Wyglądają jak lalki. Podchodzę do dziewczyny. Jest piękna, powraca żądza ciała. Podnoszę jej dłoń niby u marionetki, końcem języka próbuję paliczków. Wsadzam do ust, pustka w głowie. Gryzę. Ciecz tryska na bielutką jej twarz. Próbuję zlizać strumyk spomiędzy palców, nim skapie. Jestem rozpalony. Nie spostrzegam, kiedy cień przepelnia mi dłoń, ramiona, ciało całe. I w tych dłoniach ciemnych, rozpalonych, trzymam wciąż rączkę Nastazji, aż skwierczy, aż do skórki przypalonej, chrupiącej. Gryzę w błogostanie. Mam wrażenie, że już się nie obudzę.





# ZAŚWIADCZENIE

## B - 328

Grzegorz Czapski

Stał przed okazałym, zbudowanym z rozmachem gmachem. Gargulce na gzymsach szczyrzyły kły, a maskarony na sztukateriach złośliwie wystawiały rozdwojone języki. Dwa smutne atlasy podtrzymywały dach portyku i spoglądały błagalnie na każdego mijającego ich człowieka.

Bartek ciągle zastanawiał się, czemu wezwano go do urzędu. Wczorajszego dnia listonosz przyniósł mu pismo w małej, porządnie zaklejonej kopercie. Tłuste, czarne litery nakazywały mu jak najszybszej stawić się u urzędników przyjmujących interesantów właśnie

w tym gmachu. Jak dalej doczytał, chodziło o wyjaśnienia sytuacji z zaświadczeniem, które zapisano jako B-328. Z początku pomyślał, że to pomyłka, jedyny kontakt, jaki miał z instytucjami państwowymi, to urząd miasta. Jeszcze tego samego dnia zadzwonił na infolinię, chcąc upewnić się, czy to na pewno o niego chodzi. Ludzi z identycznym nazwiskiem w mieście było wielu, tak samo imię Bartosz nie należało do najrzadszych. W słuchawce odezwała się smutna pani, która raczyła odebrać połączenie dopiero po wysłuchaniu przez chłopaka całego Mazurka D-dur. Niestety chodziło właśnie o niego. Jednakże nie chciała wyjaśnić, czym było owo zaświadczenie, tłumacząc się, że wszystkiego można dowiedzieć się bezpośrednio w urzędzie. Poszukał jeszcze w internecie jakichkolwiek informacji, ale wszystkie wyszukiwarki milczały jak zakłète. Chłopak czuł, jak ziarno niepokoju powoli wypuszcza korzenie.

Bartek poprawił plecak wiszący mu na ramieniu i wkroczył do środka. Chciał załatwić sprawę jak najszybciej, bo wieczorem miał randkę z Moniką i musiał się jeszcze do niej przygotować. Na samo wspomnienie o kasztanowłosej dziewczynie humor mu się poprawił. Pod nosem zanucił *Ty masz dwadzieścia lat, ja mam dwadzieścia lat, przed nami siódme niebo*.

Przedsiónek wyłożony wypolerowanym granitem przytłaczał ciemną barwą. Przy dwóch przeciwległych ścianach ciągnęły się rzędy dębowych drzwi, nad którymi wisiały drewniane tabliczki z wypalonymi literami. Na środku pomieszczenia rosły schody przypominające kolorystycznie szachownicę, rozwidlające się u podstawy na dwie części niczym rozdwójony język węża. Przy owym rozwidleniu ustawiono ladę z identycznego co ściany kamienia, przy której ustawiono znak „Portiernia–informacja”. Siedział tam staruszek o błyszczącej łysinie, ubrany w schludną granatową marynarkę. Portier nie zwrócił najmniejszej uwagi na Bartka, pochłonięty układaniem pasjansa na komputerze.

Starszy mężczyzna był jedyną osobą w tej części gmachu. Chłopak podszedł do niego, aby wreszcie dowiedzieć się, o co chodzi z tym całym zaświadczeniem.

– Dzień dobry, czy może mi pan pomóc? Dostałem wezwanie i... – Bartek chciał pokazać pismo, ale staruszek odtrącił ręką dokument.

– Zabierz mi pan ten świstek sprzed nosa – warknął portier, gniewnie rzucając myszką o ladę. – Czego?

– Ja...

– Na „ja” to Niemcy głowami kiwają. Mów pan, czego chcesz, lub daj mi spokój.

– Ja w sprawie zaświadczenia B-328 – powiedział przez zaciśnięte zęby Bartek. Bezcelność portiera zirytowała go, ale starał się zapanować nad nerwami. Po co się denerwować już na samym początku dnia, prawda?

– A, trzeba było tak od razu. – Dziadek uśmiechnął się przymilnie, jakby sytuacja sprzed sekundy nigdy się nie wydarzyła. – Zezwolenie na wycięcie drzewa uzyska pan w okienku dwudziestym dziewiątym, departament krajobrazu. Schodami na drugie piętro, korytarz B, pokój dwieście drugi.

Bartka zatkało. *Ten stary pierdziel chyba jest głuchy*, pomyślał. Ciśnienie rosło w nim coraz bardziej, a dłoń instynktownie zaciskała się w pięść. Po chwili chłopak uspokoił się, wziął kilka głębokich oddechów i rozluźnił mięśnie. *Przecież to dziadek, ma prawo źle słyszeć. Spróbuję jeszcze raz, ale teraz głośno i wyraźnie.*

– Proszę pana, nie wycinka drzew, a zaświadczenie B-328. Wie pan, gdzie mam iść?

– Drugie piętro, korytarz B, pokój dwieście drugi. Ma pan problemy ze słuchem?

Coś w Bartku pękło. Uderzył pięścią o blat i krzyknął:

– To pan jest głuchy! B-328!

– Co tu się dzieje? Co to za hałasy? – zaryczał obcy, mrozący krew w żyłach głos nad ich głowami. Tak zaskoczył Bartka, że ten aż podskoczył. Ku nim schodził mężczyzna w eleganckim garniturze, każdy jego krok był pełen gracji i wyniosłości. Pod lewą ręką trzymał czarną skórzaną teczkę na dokumenty. Bartosz zauważył, że nowo przybyły urzędnik zawsze stawiał krok na czarnych schodkach na tej piętrzącej się szachownicy.

– Och, pan naczelnik. – Portier uklonił się służalczo. – Ten człowiek wygaduje jakieś bzdury, nie wiem, o co mu chodzi.

– Chodzi mi o zaświadczenie B-328 – powiedział Bartek przez zaciśnięte zęby. Naczelnik był już inną ligą. Chłopak doskonale zdawał sobie sprawę, że lepiej jakiemukolwiek naczelstwu nie podskakiwać. Pamiętał, jak przez dwa lata jego rodzina klepała biedę, bo ojciec pokłócił się z jakimś wyżej postawionym urzędnikiem. Nie chciał przez swoją choleryczną naturę powtórzyć błędu rodziciela.

– Och, z tego, co pamiętam, tymi zaświadczeniami zajmuje się pani Beata z okienka trzeciego, parter, korytarz A, sala marmurowa – oznajmił staruszek.

Naczelnik uśmiechnął się chłodno. Coś w nim było takiego, że wymuszało w jego obecności szacunek i spokój oparty na strachu o własne życie. Jakby ten uśmiech był obietnicą wyrwania serca, jeśli się człowiek nie uspokoi.

– Widzi pan, jakie to proste? – rzekł miękko naczelnik. – I po co było się tak awanturować? Teraz proszę iść, korytarz A to ten po prawej.

Nagle nogi Bartosza same się poruszyły, kierując się w stronę wskazaną przez mężczyznę. Próbował z tym walczyć, siłą woli zapanować nad każdym stawianym krokiem, przywrócić jakąkolwiek kontrolę nad kończynami, ale nadaremno. Przez chwilę myślał, czy by czegoś się nie złapać, ale poza gładkimi ścianami nie było żadnego punktu zaczepienia. Szedł samym środkiem przedsionka, a pod jego stopami rozciągało się morze granitowej ciemności. Dopiero gdy przekroczył próg korytarza, a drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, odzyskał pełną kontrolę nad ciałem.

Stał przez chwilę oniemiały, nie pojmując, co przed chwilą się wydarzyło. Czy to jawa, czy sen? Jakim cudem jego nogi same zaprowadziły go do właściwego korytarza? Czy to ten mężczyzna coś mu zrobił? To przecież niemożliwe, bo niby jak? Potupał przez chwilę nogami, następnie kopnął w ścianę dla sprawdzenia, czy aby na pewno ma w nich czucie. Duży palec zakomunikował mu boleśnie, że wszystko jest w porządku. Skołatany umysł wciąż jednak nie wiedział, co ma o tym myśleć. Miał tylko dwa pomysły, załatwić to albo uciec.

Odpowiedź przyszła sama, bowiem gdy pociągnął za klamkę od drzwi do przedsionka, ta pozostała na swoim miejscu. Zupełnie jakby specjalnie nie chciały wypuścić go do innych części budynku. Po chwili zrezygnował, winiąc stare drzwi, które po prostu się zatrzasnęły. Nie mając większego wyboru, ruszył w głąb korytarza.

Po krótkim spacerze znalazł się przed drzwiami z tabliczką informującą, jakoby prowadzić miały do pomieszczenia, gdzie znajdowało się okienko numer trzy. Nieśmiało wszedł do środka i rozejrzał się.

Z początku Bartoszowi wydawało się, że nazwanie sali „marmurową” jest jedynie fanaberią architekta lub nawet i samego naczelnika urzędu, a tutaj proszę, słodko-gorzka niespodzianka. Podłoga i ściany naprawdę były wyłożone wypolerowanym na błysk marmurem. Kamień był tak zadbany, że chłopak widział w nim swoje odbicie. Na środku pomieszczenia ustawiono kilka rzędów drewnianych ławek. Przy każdej ze ścian ustawiono po pięć kolumn, na których wisiały oblicza eleganckich, patrzących surowo mężczyzn i kobiet. Bartek miał wrażenie, że osoby na obrazach dokładnie obserwują wszystkich petentów i oceniają ich tylko sobie znanymi kryteriami.

Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, a wokół nich stała grupa nieszczęśników, którzy przyszli za późno i płacili teraz za swoje spóźnienie staniem na baczność. Bartosza zdziwił brak jakichkolwiek rozmów między oczekującymi w kolejce petentami, którzy wyglądali, jakby zamiast spotkać się z urzędnikiem, mieli umówioną wizytę u dentysty-rzeźnika. Skóra ludzi była bladożółta, ręce kościste i szczupłe, a pod oczyma wisiały sine

worki pełne zmęczenia i niewyspania. Wszyscy wpatrywali się jak zaczarowani w ekran, na którym co chwilę zmieniał się numerek. Tuż pod nim pięć urzędniczek skrywających się za szybami z grubego szkła podbijało metalowymi pieczętkami dokumenty. Muzyka rytmicznych uderzeń i sygnałów zmieniającego się numerka hipnotyzowała, tworząc wrażenie porządku i zorganizowania.

Pamiętając o tym, że portier mówił o okienku numer trzy, nacisnął tę właśnie cyfrę na panelu dotykowym stojącym tuż przy drzwiach. Maszyna ze zgrzytem wypuła karteczkę z numerem czterdzieści cztery, informując również, że jest trzydziestą osobą w kolejce. Wzruszył ramionami i oparł się o najbliższą kolumnę. Był przygotowany na naprawdę długie czekanie.

Minęła prawie godzina, a z kolejki ubyło zaledwie osiem osób. W międzyczasie przyszedł nowy petent, który – jak Bartek zauważył – również wziął numerek do okienka numer trzy. Ów mężczyzna był od niego wyższy i lepiej zbudowany. Twarz zdradzała cechy oszczędnego korzystania z dobrodziejstw umysłu, a gładko ogolona głowa lśniła w świetle halogenowych lamp. Stanął tuż koło chłopaka, przeglądając Facebooka na telefonie.

Raptem wszystko ucichło, urzędniczki odłożyły pieczętki, a czarne liczby zniknęły z ekranu zastąpione literami układającymi się w komunikat „Przerwa śniadaniowa”. Rolety opadły z trzaskiem, zasłaniając wszystkie pięć okienek. Petenci westchnęli zrezygnowani, z żalem przyjmując ten fakt do wiadomości. Bartek rozejrzał się dookoła, nie wierząc, że zachowują w takiej sytuacji spokój i pokorę. Po chwili jednak sam siebie przywołał do porządku, przecież ta dziesięciominutowa przerwa nikogo nie zbawi. Urzędnik też człowiek i ma prawo zjeść. Ale nie miał zamiaru dać grać sobie na nosie byle biurokratce. Po bezczelnym portierze był zdecydowany załatwić sprawę tego cholernego zaświadczenia, nawet jeśli oznaczałoby to zepsucie komuś dnia. Oczywiście, jeśli ta zachowa się wobec niego równie chamsko. Oko za oko.

Zza zasłoniętych okienek słychać było stłumione rozmowy przerywane śmiechem. Któraś z urzędniczek rechotała niczym stara wiedźma, inna natomiast skrzeczała jak wrona.

Nowo przybyły petent zrobił się czerwony na twarzy i wyszczerzył wściekle zęby. Gdzieś za ścianą zagwizdał czajnik.

– Czy to żart?! – krzyknął nowo przybyły. – Urwa, lecą z nami w kulki! Jest ledwo po dziewiątej, a ci przerwę śniadaniową sobie urządzają? Petentów obsłużcie, a potem jedzcie sobie, wy biurwy zafajdane!

– Ciii! – Wszyscy dookoła przyłożyli palec do ust i patrzyli się na mężczyznę z wyrzutem. Ktoś drżącą ręką wskazał na wiszącą nad okienkami wielką tabliczkę z napisem „Petencie, zachowaj ciszę, tu się pracuje”.

Zaskrzypiały zawiasy, a po nich odgłosy ciężkich, okutych butów rozeszły się echem po sali. Zza rzędu kolumn wyłoniło się dwóch rosyłych ochroniarzy w czarnych okularach wiszących im na orlich nosach. Lustrowali wszystkich dookoła, zawsze patrząc na twarz petenta, jakby próbowali w umysłach zebranych tu ludzi. Dla Bartka najbardziej niepokojące było to, że nie wiedział, skąd oni przyszli. Innych drzwi jak wejściowe nie zauważył w tej sali. Gdy wzrok chłopaka skrzyżował się ze spojrzeniem jednego z nich, Bartek zgiął się, czując ukłucie w sercu, jakby lodowata szpilka zanurzyła się w mięśniu.

– To, urwa, żarty! – kontynuował mężczyzna, który najwyraźniej nie zauważył pary strażników. – Nie będę tu stał jak idiota, idę do kierownictwa.

Już chciał wyjść, kiedy stojąca obok starsza pani chwyciła go za ramię. Awanturnik zgrzytnął zębami, ale zanim spróbował wyrwać rękę z uścisku, dostrzegł, że trzymająca go kobieta wskazuje na kolejną tabliczkę – „Nie opuszczaj kolejki, petencie, szanuj nasz czas”.

To chyba wyczerpało cierpliwość mężczyzny, który uwolnił się z uścisku, a potem rzucił kartką z numerkiem na ziemię i demonstracyjnie przydeptał ją butem. Kobieta, jak i wszyscy wokół, wciągnęła głośno powietrze, spoglądając z przerażeniem na pobrudzony papier. Wtem wszyscy jak jeden mąż wstali i odsunęli się jak najdalej od świętokradcy, a tym samym od Bartosza, który wciąż opierał się o kolumnę i próbował zrozumieć, co się wokół niego dzieje.

Tymczasem zadowolony z siebie mężczyzna ruszył w stronę drzwi, mamrocząc pod nosem laurki dla urzędników oraz przygłupich petentów.

Ochroniarze wyłonili się z korytarza, blokując drogę każdemu, kto chciał wyjść i wejść z sali. Stali niczym monolity, spoglądając z zimną obojętnością na mężczyznę, który śmiało wyrzucił numerki. Bartosz zamrugał kilka razy, spojrzął wpierw na kolumny, przy których wcześniej widział strażników, a potem na drzwi wejściowe. Kolejny raz tego dnia czuł mętlik w głowie. Bo niby jak bez zwracania niczyjej uwagi zdołali oni przejść z jednego końca pomieszczenia do drugiego? Albo byli świetnie wyszkoleni, albo przenikali przez ściany niczym duchy. Inne wyjaśnienie nie przychodziło mu do głowy.

Ten urząd stawał się dla Bartka coraz dziwniejszy, żeby nie powiedzieć przerażający. Miał coraz większą ochotę uciec stąd, ale chciał również dotrzymać postanowienia i doprowadzić sprawę do końca jak dojrzały facet.

– Z drogi! – warknął mężczyzna. – Nie macie prawa mnie tu trzymać.

Ochroniarze milczeli. Jeden z nich wyciągnął taser, ale tak szybko, że ten zdawał się samoistnie pojawić w jego ręce. Dwie igielki wystrzeliły w stronę szyi awanturnika, wgrzyzając się w ciało. Nieszczęśnik zadygotał porażony ładunkiem elektrycznym i opadł na ziemię niczym kłoda. Wszystkie jego kończyny tańczyły, a każda w innym rytmie.

Jeden z ochroniarzy chwycił za nogę awanturnika i pociągnął go przez całą salę aż do drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia. Co dziwniejsze, tam ich wcześniej nie było. Bartek przecierał oczy ze zdumienia, nie mogąc pojąć, jakim cudem nie zauważył ich. Ochroniarze otworzyli je i wrzucili ciało do ciemnego pokoju, aby zaraz potem również zniknąć w tajemniczej otchłani.

Chłopak rozejrzał się dookoła. Nikt nie zareagował, żaden z obecnych w marmurowej sali nawet nie raczył zerknąć na to, jak ochroniarze obezwładniają człowieka i zaciągają go niczym worek kartofli Bóg wie gdzie. Zupełnie jakby po pierwszym szoku związanym z numerkiem, który również zniknął, nic już dla nich się nie liczyło.

Całe zajście było dla niego nie go przyjęcia, ale nie wiedział, jak mógłby zareagować w obecnej chwili. Sama myśl o buncie paraliżowała, a świadomość, że może skończyć podobnie, jeśli zrobi coś głupiego, napawała lękiem. I wtedy poczuł gęsią skórę na prawym boku. Spojrzał w tamtą stronę, dostrzegając jednego z ochroniarzy, który przyglądał mu się zza kolumny. Czarne szkła okularów utkwione były dokładnie w Bartku. Zaniepokoiło to chłopaka jeszcze bardziej. Zastanawiał się, czemu chcą mieć go na oku. Może tamten facet coś o nim nagadał? A może ta menda portier na niego doniosła? Zresztą, czy to było ważne? Jeśli nie będzie prowokował, nic mu nie będzie.

Nie zmieniało to jednak faktu, że chłopak miał coraz większą ochotę uciec z tego biurokratycznego wariatkowa.

Nie chcąc nikogo prowokować, Bartek grzecznie czekał w kolejce. Akurat wtedy przerwa się skończyła. Liczby na ekranie ponownie się pojawiły, niespiesznie przybliżając się do jego czterdziestki czwórki. Gdy nadchodziła czyjaś kolej, petenci wstawali i niemrawo podchodzili do okienek, jakby to był naprawę smutny i bolesny obowiązek.

Bartosz nie zamierzał tak się ociągać. Dzisiaj miał wolne, specjalnie wziął dzień urlopu, aby załatwić wszystkie formalności, a potem fajrant i długi weekend. Do szybkiego załatwienia formalności motywowała go również perspektywa miło zapowiadającego się wieczoru.

W końcu przyszła jego kolej. Podbiegł do okienka, nie zważając na to, że mógł naruszyć jakiś przepis. Chciał to mieć już za sobą.

– Dzień dobry, ja w sprawie zaświadczenia B-328.

– Dowód proszę – odparła obojętnie urzędniczka.

Bez szemrania wyciągnął go z portfela i podał kobiecie. Urzędniczka w milczeniu przyglądała się kawałkowi plastiku. Jej pyzata, podobna do buldoga twarz nie zdradzała żadnych emocji. Zastukała w klawiaturę, porównała wyświetlane na monitorze dane z tymi zawartymi na dowodzie, po czym oddała go Bartkowi.

– Dobrze, widzę, że wszystko w porządku. Proszę mi dać jeszcze wypełniony czerwony formularz i mogę panu wystawić zaświadczenie.

– Czerwony? – jęknął Bartek.

– Czerwony – odpowiedziała urzędniczka.

– Ale ja nie wiedziałem, że muszę taki wypełnić. Nie mam czegoś takiego. Proszę pani, ja nawet nie wiem, czym jest to całe zaświadczenie.

– Jak to pan nie ma? – obruszyła się urzędniczka. – Niech pan nie marnuje mojego czasu. To pana obowiązek dowiedzieć się, co trzeba przygotować dla urzędu! Można sprawdzić w ustawach, w internecie albo po prostu zapytać się portiera. A teraz proszę odejść i nie wracać bez formularza.

Bartek nie miał ochoty się wyklócać, mając w pamięci „wyprowadzonego” przez ochroniarzy człowieka. Chłopak po prostu nie chciał również zostać zaciągniętym do jakiegoś ciemnego pomieszczenia. Kiwnął grzecznie głową, wybąkując pod nosem przeprosiny, i odsunął się od okienka.

Wychodząc z marmurowej sali, zerknął na drzwi, do których zaciągnięto nerwowego mężczyznę. W tym momencie się otworzyły, wypływając z mrocznej otchłani właśnie owego awanturnika. Szedł powoli, noga za nogą. Usta miał szeroko otwarte, twarz bladą jak ściana, a w drżących rękach trzymał jakiś dokument. Minał przyglądającego się mu Bartka, jakby nikogo wokół nie było. Raptem chłopak zauważył, że mężczyzna w drżącej dłoni trzymał zaświadczenie, którego potrzebował. Przeklęte B-328.

Aż syknął, nie mogąc zrozumieć, jak ten facet to załatwił.

– Przepraszam, skąd ma pan to zaświadczenie? Przecież zabrała pana ochrona – zapytał podirytowany Bartosz.

– Zabrali. Zabrali ją – mamrotał mężczyzna. – Zabrali.

– Co zabrali? – zapytał Bartek jednym tchem.

Ten już nie odpowiedział, tylko poszedł wzdłuż korytarza, zostawiając skołowanego Bartka w drzwiach.

Chłopaka powoli zalewała krew. Już chciał krzyknąć, ale szybko ugryzł się w język. Przypomniał sobie, że ochroniarz stoi gdzieś za jego plecami i go obserwuje. Ale co mogli mu



niby zrobili? Może zabrali temu facetowi coś ważnego? Albo w zamian za łapówkę załatwili papierek? Cholera wie, co to mogło być. Bartek jednak nie miał zamiaru dać zarobić ekstra tym chciwym biurokratom.

Zamyślony nie zauważył, że mężczyzna zniknął. Nie chcąc jednak dać za wygraną, pobiegł do głównego wejścia w przedsiionku.

Widząc to, ochroniarz uśmiechnął się smutno i schował za kolumną, wtapiając swe ciało w powierzchnię marmuru.

Bartek wbiegł do przedsiionka, ale zastał tam tylko portiera. Mężczyzna z zaświadczeniem wyparował. W chłopaku zagotowała się krew, a ogarniający coraz mniej umysł powoli zmieniał się w galaretę. Miał wszystkiego dość i jedynie, czego chciał w obecnej chwili, to iść do domu, odpocząć i przygotować się do miłego wieczoru.

Skierował się ku drzwiom wyjściowym.

Już chciał wyjść, ale kolejne drzwi odmówiły mu przejścia.

– No co jest?

– Niech pan nie ciągnie, bo klamka się jeszcze urwie! – zakrzyknął portier, nie odrywając wzroku od monitora. – Budynek nie wypuści nikogo, kto nie załatwił swojej sprawy.

– Co to za bzdury? – odpowiedział Bartek, podchodząc do staruszka. – Budynek to budynek, a nie żywa istota. Panie, dla mnie ten urząd przypomina piekło. Ma pan natychmiast mi otworzyć, bo nie ręczę za siebie.

Tego dla Bartka było już za wiele. Był przekonany, że nie pozwoli nikomu trzymać go tutaj wbrew jego woli.

Staruszek uśmiechnął się złośliwie, wskazując kciukiem na schody. Stał tam ochroniarz. O zgrozo, ten sam, co obserwował chłopaka w sali marmurowej. Bartek przez moment myślał o ucieczce, ale przecież nie miał dokąd. To miejsce coraz bardziej go przerażało. Arogancję i butę urzędników dało się jeszcze wytłumaczyć, biurokratyczną skamielinę formularzy i zaświadczeń też, ale nie przenoszących się niezauważenie ochroniarzy. Czuć w nich było coś złowieszczonego.

– Domyślam się, czego pan teraz szuka. Wszystkie formularze znaleźć można na pierwszym piętrze, korytarz C – powiedział portier, jakby czytał w myślach chłopaka. Bartek chciał już podziękować, ale staruszek mówił dalej: – Dostanie pan tam blankiet na to, by otrzymać pozwolenie na ścinę drzew.

Gdyby nie ochroniarz, z pewnością teraz zadusiłby dziada. Bartosz nie potrafił go nazwać inaczej jak arogancką, wredną, głuchą mendą. Jednak mimo to podziękował mu

i poszedł we wskazanym kierunku. Na schodach minął ochroniarza, który stał akurat na białym schodku. Przechodząc koło niego, chłopak dostał dreszczy, przez co przyspieszył kroku, aby oddalić się od niego jak najprędzej.

Po chwili był na piętrze, we właściwym korytarzu i przed właściwym pokojem. Na szczęście na korkowej tablicy wisiały wskazówki, co w którym gabinecie można było znaleźć. Akurat w sto trzynastce wydawano formularz czerwony, ale również niebieski i – o zgrozo – formularz, aby uzyskać zgodę na wycinkę drzewa. *Szkoda, że nie ma formularza „Pozwolenie na zabicie człowieka”*, pomyślał Bartek.

Raptem usłyszał głucho stuknięcie. W głębi korytarza stał wysoki mężczyzna i uderzał rytmicznie głową o ścianę. Bartek postanowił go zignorować, nie miał ochoty na jakiegokolwiek kontakty z innymi petentami, zwłaszcza z wariatami.

Nie chcąc tracić czasu, zapukał do drzwi i wszedł do środka.

Za biurkiem siedział niewysoki mężczyzna piszący coś na komputerze.

– Zapraszam, zapraszam. Niech pan siada – powiedział rozradowany na widok Bartosza urzędnik, wskazując chłopakowi krzesło po drugiej stronie biurka. – W czym mogę panu pomóc?

– Dzień dobry – odpowiedział Bartek, siadając. – Potrzebuję czerwonego formularza.

– Ależ oczywiście, drogi panie, mam ten formularz, jeszcze ciepły. – Urzędnik otworzył szufladę i wyciągnął blankiet z niebieską naklejką. – Proszę, oto on.

Bartek odpowiedział mu milczeniem, walcząc o zachowanie kontroli nad nerwami. Niebieska naklejka była niczym szyderstwo. *Co ten urzędnik sobie myśli, pomyślał chłopak, czy jego zdaniem jestem ślepy?* Emocje – od irytacji po rezygnację – szalały w jego głowie. Znowu któryś raz tego dnia wziął głęboki oddech, próbując zapanować nad sobą, a tym samym wszystko racjonalnie wytłumaczyć. *Może się pomylił? Każdy ma do tego prawo.*

– Jest pan pewien? – zaczął nieśmiało Bartek.

– Ależ oczywiście, formularz czerwony niezbędny do wystawienia zaświadczenia B-328. – Nieszczery, wyuczony uśmiech pojawił się na twarzy urzędnika.

– To są żarty – wyrwało się chłopakowi. – Pan jest daltonistą albo złośliwy!

– To pan jest daltonistą! – Urzędnik raptownie wstał, opierając się rękami o biurko. Uśmiech zniknął z jego twarzy, zastąpiony grymasem urazy. – Nie dam się obrażać. Niech pan zabiera dokument i sobie idzie, tu się pracuje!

Bartosz nie pozostał mu dłużny, również wstał i spojrzał prosto w zezowate oczy mężczyzny. Były mętne i pozbawione jakichkolwiek śladów życia.

– Dobrze – powiedział przez zaciśnięte zęby Bartosz, wskazując ręką na swoją niebieską koszulkę. – Ale niech pan mi jeszcze powie, jaki mam kolor ubrania?

– Co to ma do rzeczy?

– Proszę. Mi. Odpowiedzieć – powiedział Bartek, akcentując każde słowo.

– Ma pan na sobie czerwoną koszulkę i co z tego?

– To z tego, że poproszę jeszcze o niebieski formularz.

Urzędnik wymruczał parę niezrozumiałych inwektyw i wyciągnął kolejny blankiet, tym razem z czerwoną naklejką. Bartek wyrwał mu dokument z ręki i bez słowa wyszedł z gabinetu. Ledwo zamknął za sobą drzwi, nogi zrobiły się mu jak z waty. Czując, że traci równowagę, usiadł na ławce i załamał się. Był zmęczony, wszystko w tym urzędzie wysysało z niego siły jak wygłodniały wampir. Kątem oka zerknął w głąb korytarza, gdzie nieznany mężczyzna uderzał głową o ścianę. Zakrwawione czoło zdołało już zedrzyć farbę i rozkruszyć kawałek tynku. Bartek czuł się podobnie, też zdawało mu się, że ciągle uderza głową o mur biurokratycznego absurdu.

Wziął się w garść. Spojrzał na zegarek i zaklął. Dochodziła pierwsza. Musiał jak najszybciej załatwić sprawę, inaczej nie zdąży na randkę z Moniką. Czuł zimny dreszcz, który oznaczał, że w pobliżu przygląda mu się jeden z ochroniarzy. Nie wiedział tylko, gdzie on jest. Ucieczka z urzędu nie wchodziła w grę, gdzie by nie pobiegł, tam i tak go dopadnie. Oczy chłopaka nerwowo spoglądały w każdą stronę, ale wciąż nie mogły zlokalizować swego prześladowcy. Bartek zaczął się zastanawiać, czy może przypadkiem nie popada w paranoję.

– Nie dam się wam zamknąć w tym więzieniu – szepnął, a potem z przestachem zdał sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu powiedział coś do siebie na głos. To nie zwiastowało nic dobrego.

Wtem do niego dotarło, że uderzający głową o mur mężczyzna krwawi. Pochłonięty walką z własnymi demonami nie zauważył, że drugi człowiek potrzebuje pomocy. Bartek zerwał się z miejsca i do niego podbiegł.

– Proszę pana, czy wszystko w porządku? Pan krwawi, wezwę karetkę.

– Na wieki w niewoli – mamrotał mężczyzna. – Sprzedałem ją.

– Co na wieki? Co pan sprzedał? Może mi pan odpowiedzieć?

Mężczyzna przestał uderzać głową o mur i odwrócił głowę w stronę Bartka. Wykrzywiony grymas pełen rozpacz przynosił na myśl pacjenta szpitala dla obłąkanych, tylko kaftana bezpieczeństwa mu brakowało. Przez moment ważył w ustach słowa, które chciał wypowiedzieć. Chyba nie był pewny, czy chłopak był odpowiednią osobą do takich zwierzeń. Raptem wziął głęboki oddech.

– Duszę. Oszukali. Sprzedałem duszę za marny świstek! – wrzasnął mężczyzna.

– Ok... – powiedział niepewnie Bartek, odsuwając się od niego.

Chłopak jednak wolał nie mieć nic wspólnego z tym masochistycznym wariatem. Zwłaszcza że ten patrzył się na niego swoimi mętnymi oczyma, podobnymi do wielu innych, które widział dzisiejszego dnia w urzędzie. Jednak mężczyzna szybko się znudził Bartkiem i wrócił do próby przebicia głową muru.

Na wszelki wypadek Bartek zadzwonił po karetkę i na policję, informując, że jest tutaj ranny i zapewne szalony mężczyzna, ale ku jego zdziwieniu osoby po drugiej stronie zignorowały zgłoszenie. Powiedziały mu tylko, żeby się nie przejmował i zajął swoimi sprawami.

*Chyba cały świat dzisiaj oszalał. Urzędnicy-daltoniści, dziwni ochroniarze, tajemnicze siły, które pozbawiają władzy nad ciałem, i psychiczni, ośpiali ludzie popadający w obłąd. Do tego ci ochroniarze. Co tu się, do cholery jasnej, dzieje?*

Wyszedł na klatkę schodową, aby nie być w jednym pomieszczeniu z szaleńcem. Sięgnął do plecaka, schował niebieski formularz i zaczął szukać długopisu. Grzebał w przegródkach oraz kieszonkach, ale nic nie znalazł, zupełnie jakby wyparował. Chłopak rzucił plecakiem i trzymanym w ręku czerwonym formularzem na schodek. Drobną kroplą, która przelała czarę goryczy.

– Oho, widzę, że pan znowu rozrabia. – Bartek usłyszał miękki głos za swoimi plecami, który sprawił, że naprężył się niczym struna. – Ładnie to tak awanturować się w urzędzie?

Chłopak natychmiast się odwrócił. Tak jak się spodziewał, stał tam na czarnym schodku naczelnik urzędu. Pod pachą trzymał swoją nieodzowną czarną teczkę na dokumenty.

– Przepraszam, ja, ja... – jęknął chłopak, czując niewiadomo dlaczego wstyd. Wiedziony dziwnym impulsem zaczął podnosić swoje rzeczy. – Ja po prostu zapomniałem długopisu.

– Tylko tyle? – Naczelnik sięgnął do swojej teczki na dokumenty, z której wyciągnął czerwony długopis z diodą i podał go Bartkowi. – Domyślam się jednak, że to nie jest jedyny powód pańskiego zdenerwowania.

Miły, spokojny głos naczelnika wpłynął na Bartosza kojąco. Zszargane nerwy powoli się uspokajały i wracał do normalności.

– Dziękuję – odpowiedział grzecznie Bartek. – Ma pan rację, po prostu za dużo papierkowej roboty. Muszę jeszcze przeczytać ten formularz, wypełnić go i zanieść do okienka, a czasu mam naprawdę mało.

– Och, niech się pan nie denerwuje, pomogę ze wszystkim, w końcu to moja praca. Proszę, możemy wszystko uzupełnić na parapecie. – Mężczyzna wskazał dłonią na okno znajdujące się na półpiętrze. Podeszli tam i zaczęli wspólnie uzupełniać blankiet. – Tu niech pan wpisze imię, a tu nazwisko, a tu... – Mężczyzna tłumaczył cierpliwie, pokazując palcem odpowiednie rubryki. Dioda na szczycie długopisu mrugała czerwonym światłem, drażniąc i dekoncentrując. Co chwilę chłopak przymykał oczy, a w głowie kręciła się coraz szybciej karuzela. Mgła zasnuwała spojrzenie, spychając świadomość w nieznaną ciemność. Umysł zanurzył się w mrocznej toni apatii, opadając coraz głębiej w bezdenną otchłań. Raptem coś chwyciło go i z całej siły wyciągnęło na powierzchnię.

Chłopak nie wiedział, gdzie jest, co robi i czemu trzyma w dłoni jakiś papierek. Spróbował go przeczytać, ale litery rozmazywały się i zlewały w niezrozumiały ciąg szlaczków. W drugiej ręce dzierżył długopis z przepaloną diodą. Na jednym z palców zauważył małą kropkę zaschniętej krwi.

– No i widzi pan, jakie to proste? Wystarczy teraz zanieść blankiet do pani Beaty na parterze i ma pan wszystko załatwione – powiedział rozradowany naczelnik.

– Ja, ja... dziękuję – odpowiedział zdezorientowany Bartek. Następnie wstał i posłusznie ruszył do sali marmurowej. Będąc już na parterze, spojrzął na półpiętro, gdzie naczelnik wodził za nim wzrokiem. – Do widzenia – powiedział z niezrozumiałą dla niego samego trwogą, kierując swe kroki w stronę korytarza A.

– Do widzenia – powiedział cicho naczelnik. – Może być pan pewien, że prędko się zobaczymy. Jednak nie będzie tak miło.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki mężczyzna wyciągnął wypolerowany czerwony kamień, który pulsował co kilka sekund bladym światłem – prezent od ochroniarzy. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, napawając się krwistą barwą, która łapczywie pochłaniała każdy promień światła. *Będziesz ładnie się prezentował w kolekcji*, pomyślał naczelnik, chowając kamień do marynarki.

\*\*\*

Dalej wszystko poszło jak po maśle. Bartek odczekał swoje w kolejce, oddał formularz, otrzymał wreszcie to cholerne zaświadczenie i mógł opuścić budynek. Spróbował

po drodze przeczytać, czym właściwie jest to całe B-328, ale litery wciąż rozmazywały mu się przed oczyma. Winę zwałił na stres i zmęczenie, które z pewnością przegoni porządna drzemka. Po powrocie do domu Bartek rzucił plecak na łóżko, zdrzemnął się, a potem z powodu braku czasu na cokolwiek innego zaczął przygotowywać się do randki.

Teraz siedział wraz z Moniką w małej restauracji, gdzie świętowali trzecią rocznicę związku. Płomień świecy oświetlał miękkim blaskiem ładny owal twarzy dziewczyny i jej kasztanowe, gęste włosy, w których można było utonąć. Chłopak zapomniał już o stresie dzisiejszego dnia, dziwnym urzędzie i biurokratach, z którymi musiał się użerać. Liczyła się teraz ona, wybranka jego serca i jak miał nadzieję – przyszła żona. Dwudziestopięciolatek marzył teraz o znalezieniu w ciągu najbliższego roku lepszej pracy, aby kupić pierścionek zaręczynowy i wynająć dla ich dwójki mieszkanie, gdzie mogliby uwić swoje wspólne gniazdko.

Raptem do restauracji weszło trzech identycznych smutnych panów w czarnych garniturach. Niektórzy klienci odwracali od nich wzrok, bojąc się spojrzeć im w oczy. Inni w ciszy wodzili za nimi oczyma, ciekawi, do którego stolika podejść. Atmosfera w lokalu stała się tak ciężka, że nawet mucha schowała się w kącie, bojąc się poruszyć odnóżami. Jedynie Bartek z Moniką nie zauważyli, że coś się dzieje, wpatrzeni w siebie jak w obrazki. Smutni panowie od razu namierzili swój cel. Podeszli do ich stolika, niszcząc tym samym romantyczny nastrój.

– Pan Bartosz Duszycki? – zapytał ten stojący na środku.

– Tak, o co chodzi?

– Leszek Boruta, wydział egzekucji specjalnych urzędu skarbowego. Pozwoli pan z nami na zaplecze. – Ukłonił się Monice. – Panienska wybaczy, ale musimy porozmawiać z pani chłopakiem. Sprawa urzędowa.

Oszołomiona dziewczyna skłoniła tylko głowę i spojrzała pytająco na Bartka, który był równie zdziwiony jak ona. Chłopak, nie mając zbytnio wyjścia, wstał i ruszył w eskorcie mężczyzn na zaplecze.

Gdy znaleźli się na tyłach lokalu, komornicy otoczyli go ze wszystkich stron.

– Wyjaśnicie mi panowie, co do cholery znaczy to najście? – zaczął zdenerwowany Bartek. – Czemu panowie przyszli teraz, a nie w ciągu dnia? Zresztą to nieważne, nie mam żadnego długu, więc kompletnie nie rozumiem, czego panowie ode mnie chcą.

– Już wyjaśniam – odezwał się ten sam urzędnik. – Dzisiaj z urzędu przyszła do nas informacja, że wypełnił i złożył pan formularz czerwony, czyli wniosek o dobrowolne zrzeczenie się praw do duszy, i otrzymał zaświadczenie z tej racji. Urząd w najbliższym

czasie wypełni zobowiązanie i zapewni panu pracę za godziwe pieniądze. Teraz pozwoli pan, że przejdziemy do egzekucji.

Dwóch pozostałych komorników chwyciło Bartka za ręce, wykręcając je tak mocno, że ten jęknął z bólu. Chłopak nie próbował się nawet wyrwać, bo jakikolwiek ruch tylko pogarszał sprawę.

– To jakiś żart, prawda? – zaszlochał Bartosz. – To jakiś cholerny żart, jakie oddanie duszy? Załatwiałem dzisiaj sprawę w urzędzie, ale...

– Ale nie raczył pan nawet przeczytać treści formularza – przerwał Bartkowi jeden z trzymających go komorników. – Typowe, wszystkim wam się spieszy. Gdyby pan tylko zerknął do formularza, dowiedziałby się, że oddanie duszy jest tak naprawdę dobrowolne. Każdy obywatel tego kraju na podstawie umowy z piekłem ma prawo do odwołania się od decyzji, wypełniając formularz niebieski.

– Takie proste – odezwał się trzeci z komorników. – Jednak pan, podobnie jak całe mrowie naszych współobywateli, nie raczył przeczytać tego, co podpisał. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ma pan zapewnioną ciepłą posadkę w urzędzie, może nawet na wysokim stanowisku. Jednak to zależy będzie od tego, jak panu naczelnikowi będzie podobała się pańska dusza.

– Więc to prawda? Jesteście diabłami? – jęknął Bartek.

– My? – Uśmiechnął się pierwszy z komorników, wyciągając z marynarki urządzenie przypominające pistolet, którego lufa wyglądała jak ssawka odkurzacza. – Być może, ale to i tak jest bez znaczenia. Dobra, czas to pieniądz. Jak nie będzie się pan zbyt wierzcił, to nie będzie bolało.

Bez ostrzeżenia urzędnik przyłożył urządzenie do piersi Bartka i pociągnął za spust. Z początku chłopak poczuł jedynie lekkie łaskotanie, które zmieniło się w uczucie podobne do wrywania żywcem zęba, tyle że wielkości głowy. Otworzył usta, aby krzyknąć, ale jeden z komorników wprawnym ruchem wsadził mu knebel do ust. Cała trójka milczała, spoglądając smutnymi mętnymi oczyma na wijącą się z bólu ofiarę biurokracji. Komornicy w tym samym momencie pomyśleli, że pewnie skończyłoby się to inaczej, gdyby tylko Bartosz nie dał się zwieść naczelnikowi.

W tym samym czasie Monika czekała cierpliwie przy stoliku, choć nie mogła się powstrzymać, aby co chwilę nie zerknąć na zegarek. Minęło już pół godziny, od kiedy dziwni mężczyźni zabrali jej chłopaka na zaplecze. Obawiała się, że Bartek wplątał się w coś niedobrego. Gdyby miał kłopoty finansowe, to z pewnością mogłaby już zapomnieć o jakichkolwiek wspólnych planach na przyszłość.

Wtem trójka mężczyzn w garniturach przeszła koło niej, nie zwracając na nią uwagi. Jeden z nich przyglądał się małemu kamieniowi oszlifowanemu na bagiet. Był czerwony z małymi, pomarańczowymi żyłkami. Jednak całą swoją uwagę skupiła na Bartku, który pojawił się zaraz po nich.

Chłopak był blady i powłóczył nogami. Do tego chwiał się, jakby miał zaraz zemdleć, a oczy miał mętne i bez wyrazu. Monika podbiegła do niego, pomogła mu dojść do stolika i usiąść.

– Czego od ciebie chcieli? Masz jakieś kłopoty? – powiedziała, siadając na swoim miejscu.

– Kłopoty? Nie. Tylko mi coś zabrali – mówił beznamiętnym głosem. Jego puste spojrzenie przyprawiało dziewczynę o dreszcze.

– Co ci zabrali?

– A czy to ważne?

Monika o nic więcej nie pytała, chociaż miała wielką ochotę wyciągnąć z niego wszystko tu i teraz. Ale знаła go na tyle, by wiedzieć, że wszelkie informacje trzeba było wyciągać z niego sposobem i w odpowiedniej chwili.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy. Monika dojadła już swój posiłek, a Bartek beznamiętnie dźgał widelcem kawałek sałaty. Romantyczna atmosfera nie powróciła do nich. Dziewczynę drażniły ciągle powtarzające się w jej głowie pytania. *Kto to był? W co się Bartek wplątał? Co mu zrobili? Pobili go? Okradli? Przecież przedstawili się jako urzędnicy skarbowi. Może jego ojciec znowu coś namieszał?*

Po następnych kilku minutach Monika nie wytrzymała i otworzyła usta.

– Wiesz co? – zaczęła, myśląc, że rozmowa o niczym rozładuje trochę tę dziwną atmosferę i choć trochę poprawi chłopakowi humor. – Wezwali mnie do urzędu. Chcą, bym stawiała się w związku z zaświadczeniem B-coś tam. Wiesz, o co może im chodzić?

Iskierka życia delikatnie przywróciła blask w oczach Bartka. Spojrzał na Monikę ze zgrozą.

– Wypełnij niebieski – powiedział, ledwo wypowiadając każde słowo.

– O, a jednak wiesz.

– Jeśli zechcą czerwony, daj im niebieski. Żaden inny, błagam cię. W domu mam blankiet. Wypełnij go i daj im. – Wtem całe jego ciało zadrzało, a ślina speniła się na jego ustach, jakby dostał wścieklizny. – Zechcą czerwony, daj im niebieski. Pamiętaj!



\*\*\*

Monika stała przed okazałym, zbudowanym z rozmachem gmachem. W dłoni trzymała formularz, który dała mu matka Bartka. Na samo wspomnienie o chłopaku łza zakręciła się jej w oku. Ich randka skończyła się tragicznie. Bartek dostał dziwnego ataku padaczki i pogotowie zabrało go do szpitala. Z relacji rodziców chłopaka, którzy bardzo ją lubili, dowiedziała się, że Bartek po przebudzeniu ciągle powtarzał tylko dwie rzeczy. Że zabrali mu coś i że mają koniecznie jej dać niebieski formularz. Dziewczyna wypełniła go, przeczytawszy wcześniej jego treść, ale poza informacją o rezygnacji z jakiejś dotacji nic nie znalazła. Ufała swemu lubemu, ale nie była pewna, czy aby na pewno dobrze jej poradził.

Pomyślała, że zapyta się portiera, który rozmawiał właśnie z jakimś mężczyzną w garniturze.

Naczelnik dostrzegł dziewczynę i uśmiechnął się życzliwie. Podobała mu się, a akurat potrzebował sekretarki. Zamierzał jej pomóc jak najszybciej załatwić zaświadczenie i tak się składało, że miał przy sobie odpowiedni formularz. Obok dokumentu w teczce znajdował się czerwony kamyczek z żółtymi żyłkami, nowy nabytek do kolekcji.



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

# PARTNERZY





Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

